MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 41. WARSZAWA, 12 PAŹDZIERNIKA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

LEKCJA POGLĄDOWA

„SĄDOWNICTWO idzie mniej więcej w ten sam sposób, jak jabym sobie życzył" — oświadczył w wywiadzie z dn. 28 września r. b. p. prezes Rady ministrów Piłsudski. Widoczne jest, iż „sposób" ten nie zaleca się bynajmniej pobłażliwością. Czterdziestu kilku b. posłów na Sejm podległo oskarżeniu o rozmaite przewiny (w większości wypadków, zdaje się, o działalność przeciwpaństwową, z art. 101 Kod. Karn.), przyczem w stosunku do obwinionych użyty został surowy środek zapobiegawczy aresztu, dodatkowo jeszcze tym razem obostrzonego.

Twarda dłoń sprawiedliwości, w poszukiwaniu winowajców, dosięgła najróżnorodniejszych grup, najrozmaitszych środowisk, wszędzie wypatrywano ukrytych ognisk zarazy, które powinny być doszczętnie wyniszczone, wszędzie wynajdywano niebezpieczne dla przyszłości Państwa poczynania, knowania, wichrzenia. W aresztanckiej celi znaleźli się prawicowcy, centrowcy i lewicowcy, katolicy i wolnomyśliciele, oboźny Obozu Wielkiej Polski obok socjalisty, inteligent obok robotnika i włościanina... W gorliwości około tępienia zła, gdziekolwiek by się ono znalazło, nie krępowano się żadnemi względami ubocznemi, nie zawahano się przed osadzaniem w więzieniu nawet ludzi, którzy w życiu narodu w ostatnich lat dziesiątkach odegrali rolę historyczną, odznaczonych najwyższemi orderami państwowemi i piastujących doniedawna najpierwsze w Rzplitej urzędy. Widząc rozmiar i zasięg dokonanych represyj, obywatel zapytuje się ze zgrozą, czy rzeczywiście panowanie występku mogło być zjawiskiem aż tak powszechnem, czy rzeczywiście, poza dzisiaj rządzącym obozem, we wszystkich ugrupowaniach sejmowych przywódcami politycznymi byli nieprzyjaciele Państwa Polskiego albo pospolici złoczyńcy?

Nil desperandum!... Istnieje jednak, poza ścisłą grupą posłów „sanacyjnych", szczęśliwy klub parlamentarny, którego członków nie sięgnęła karząca ręka sprawiedliwości, klub najmniejszem oskarżeniem nie obarczony, otoczony zaufaniem, niepodejrzany. Klubem tym — jest Koło Żydowskie. Z tego zespołu nikt do baszty brzeskiej nie zawędrował, w nim — jak się z obecnych posunięć okazuje — najbezpieczniejszą znalazła przystań „myśl państwowa" i kwitną cnoty prywatne oraz publiczne.

Że ten stan rzeczy nie jest prostym zbiegiem okoliczności, ale wypływa z zasadniczej postawy obozu „sanacyjnego" przy ocenianiu, co jest „antypaństwowe", a co „państwowe", łatwo stwierdzić można na podstawie faktów, których wymowa jest nieodparta. Od maja r. 1926 władze administracyjne, a później i sądowe, okazywać zaczęły większą znacznie, aniżeli poprzednio, bezwzględność w stosunku do przestępstw prasowych. Konfiskaty stały się rzeczą powszednią, ulegają im dzienniki i tygodniki, pisma o treści poważnej i popularnej, organy prawicowe, centrowe i lewicowe. Warszawiacy przecierali oczy ze zdumieniem, spostrzegając, że konfiskowany bywał nawet „Kurjer Warszawski", dziennik tak przykładnie objektywny, zrównoważony, umiarkowany we wszelkich swoich poglądach i ocenach. Ale ci sami warszawiacy mają także sposobność zauważyć fakt drugi: surowa dłoń cenzorska nie konfiskuje z zasady wielkiego warszawskiego organu żydowskiego, dziennika syjonistycznego: „Nasz Przegląd". Tam nie odnajdzie się

szkodliwych dla Polski tendencyj, to pismo traktować można zawsze z całkowitem zaufaniem, nie stosując do niego żadnych kar ani represyj...

Jeśli Państwo karze winowajcę, działalność ta nie jest tylko wymierzeniem sprawiedliwości, przywróceniem zachwianej wskutek czynu przestępczego równowagi w dziedzinie moralnej. Wymiar kary, to jednocześnie akt wychowawczy w stosunku do społeczeństwa, niejako lekcja poglądowa, pouczająca przy pomocy konkretnego przykładu, co złe, a co dobre, w jaki sposób winien obywatel postępować i czego się wystrzegać. Nauka, jaką w tym zakresie daje społeczeństwu polskiemu okres „sanacyjny", jest zupełnie wyraźna: Niechaj wszyscy posłowie na Sejm mają ten stosunek moralny do Polski, co pp. Grünbaum Izaak, Farbstein Szyja, Thon Ozjasz i ich towarzysze, a możemy być spokojni o przyszłość Państwa, o jego świetny rozwój „mocarstwowy"... Gdyby cały Sejm Rzplitej zamienił się w jedno wielkie Koło Żydowskie, nie potrzeba byłoby wówczas nocnych aresztowań posłów, życie polityczne płynęłoby torem normalnym, bezpiecznie, bez jakichkolwiek wstrząśnień i zawichrzeń.

Ale zarazem fakty, wymowniejsze niż słowa, stanowią też dla społeczeństwa polskiego najlepszą lekcję poglądową, czem naprawdę jest w naszem życiu politycznem obóz „sanacyjny", jaką treść rzeczywistą kryje w sobie jego ideologja „państwowa", jaki sens głębszy, prawdziwy posiadają jego hasła i dążenia. Lekcja ta napewno nie będzie daremna.

Post scriptum. Z rozważań powyższych łacno możnaby odnieść wrażenie, że — oprócz ścisłego zespołu posłów „sanacyjnych" — Koło Żydowskie jest jedynem u nas ugrupowaniem parlamentarnem, którego członkowie — w obecnym okresie „silnej władzy" — żadnym jednak szczęśliwie nie podlegają represjom. W interesie dokładności stwierdzić należy, iż jest inaczej. Istnieje jeszcze drugi klub sejmowy, z którego składu ani jeden poseł nie został aresztowany. Jest nim mianowicie—Niemiecki Klub Parlamentarny.

JAN REMBIELIŃSKI

W SPRAWIE MESJANIZMU

Na łamach jednego z dzienników umieściłem niedawno artykuł p. t. „Romantyzm i martyrologja" [1]), w którym wypowiedziałem przekonanie, że ta część naszej tradycji ideowej, którą obejmujemy mianem „mesjanizmu", spełniawszy zresztą, naogół chlubnie, zadanie swe, jest już przestarzała. Nie zgadzał się z tem i replikował w dużym artykule w krakowskim „Przeglądzie Powszechnym" p. t. „W obronie mesjanizmu" p. Antoni Waśkowski. Pozwalam sobie przed Czytelników „Myśli Narodowej" przyjść z tą sprawą, sądzę bowiem, że idzie o sprawę o znaczeniu ogólniejszem. Kwestja wartości mesjanizmu to nie jest tylko sprawa samym polonistów; wszak szczątki, zalążki, emanacje rozmaitych idej, pozornie czysto „książkowych", snują się po atmosferze duchowej społeczeństwa, trafiają do szkoły przedewszystkiem, i w ten sposób przyczyniają się wkońcu do kierunków opinji publicznej. Ponadto, jest objawem bardzo zrozumiałym i zdrowym, jeśli przeszłość znajduje zapalonych obrońców, jeśli nie poddaje się bez strzału rewizjonistom; byłoby dziwne, gdyby idea, bądź co bądź w swoim czasie tak znacząca, jak mesjanizm, nie dźwięczała jeszcze serdecznym pogłosem u niejednego ze współczesnych.

1. Obrona mesjanizmu przez p. Waśkowskiego da się zawrzeć w skrócie. Mesjanizm jako ideologja, stawiająca Polsce przed oczy wzór ofiary Chrystusowej, jest w najgłębszej swojej istocie szkołą ofiarności, poświęceń jednostki dla ogółu. Tylko poświęceniami takiemi urosnąć może Polska, jako kultura moralna i jako potęga polityczna, gospodarcza itd. Przeto mesjanizm powiniem pozostać podstawą wychowania narodowego; sprzeciwiać mu się, to tyle, co tępić w sobie zdolnoność do ofiary, tępić „pewne hasła żywe, głęboko w psychice narodowej utajone".

Otóż nie ulega wątpliwości, że w pismach mesjanicznych, jak np. Brodzińskiego „Poselstwie z ziemi ucisku" i in. — pełnym tchem czerpie się ducha ofiary, że są one źródłem wzruszeń jak najszlachetniejszych i dlatego w całej pełni zasługują one na obronę przed niwelatorskiemi modami, któreby zbagatelizować chciały w pamięci narodowej epokę tak wzniosłą. I napewno nie z ulegania takim modom wyszła moja polemika, nie wnosząca zresztą do dość powszechnej dziś postawy antyromantycznej, nic nowego, oprócz jednego, ale ważnego rozróżnienia: likwidacja idei romantyzmu politycznego, nie powinna objąć tradycji naszego męczeństwa; że owszem, na przykładach tych niezliczonych bohaterów walki o niepodległość, wyobraźnia młodzieży i mas szerokich powinna się kształcić i zaprawiać się gotowością do ofiar, gotowością, której nam więcej potrzeba, niż innym narodom. Więc nie tylko, że nie starałem się kasować idei ofiary dla ogółu, lecz owszem zależało mi na jej utwierdzeniu. I mam pewien żal do mojego szanownego oponenta, że tego punktu moich wywodów nie uwzględnił.

A więc może być ofiarność — bez mesjanizmu? Ależ naturalnie, i właśnie przeciw temu mniemaniu należy protestować, jakoby duch ofiarności, duch, który jest potrzebny narodowi przez cały czas jego twania, związać się musiał z ideami o znaczeniu tylko tymczasowem! Nie należy zresztą przeceniać wpływu mesjanizmu nawet na pokolenie ówczesne. Z pewnością, ujmując i kondensując pojęciowo, rozlane po atmosferze narodowej skłonności do ofiary, ze swej strony mesjanizm wzmacniał je, ale ostatecznie, jak widać z tak obfitej publicystyki owego czasu, świadomość mesjaniczna, w ścisłem znaczeniu tego słowa, bynajmiej nie była tak decydującą w wyrazie duchowym owych czasów, jak to sobie naogół wyobrażamy: mesjanizm jako taki, jako koncepcja pojęciowa,

---

[1]) „Głos Narodu", 4.V. 1930.

PAMIĘTAJCIE O FUNDUSZU WYBORCZYM STRONNICTWA NARODOWEGO

był raczej jednym ze skutków, niźli przyczyną owego ducha tęskniącego i heroicznego; jakież np. momenty mesjaniczne dadzą się wykryć w owych bohaterskich i tragicznych rymach przedzgonnych takiego Szymona Konarskiego?.. Żadne. A mesjanizm w swej towianistycznej postaci, głosząc „ofiarę z ducha“, która napewno nic innego nie oznaczała, tylko zaprzestanie nienawiści do Moskala, głosząc zupełną bierność polityczną, był narodowo demoralizujący, i za taki przez opinję powszechną został podówczas uznany. Towianizm przysunął się wprost do granic renegacji. A przecież była w tem logika mesjanistyczna. Jeśli Polska była przeznaczona do przodowania światu w moralności chrześcijańskiej, to powinna była pokazać światu, jak się miłuje nieprzyjacioły swoje... Okazuje się, że przenoszenie dosłowne zasad moralności chrześcijańskiej z jednostki na zbiorowość jest niebezpieczne.

Są wysokie, wzniosłe stany ducha, w których człowiekowi otwiera się cały sens głęboki tego przykazania o miłowaniu nieprzyjaciół, poprostu nie potrafiłby w takim stanie, stanie „świętości“, nienawidzieć kogokolwiek. I człowiek, jako jednostka, nie powinien nienawidzieć żadnej jednostki z innych narodów, za jej pochodzenie; stąd wynikają nakazy lojalności w stosunku do przeciwników, braku okrucieństwa w walce i t. p. dary błogosławione ducha chrześcijańskiego, niestety nie często przez chrześćjan stosowane... Ale do tego wcale nie potrzeba być mesjanistą. Mesjanistą jest się, jeśli się mówi o ofierze narodu dla innych narodów. To też autor artykułu „W obronie mesjanizmu", aczkolwiek pragnąłby zredukować sens mesjasizmu do prostej idei ofiarności społecznej, nie jest w możności obejść się bez takich oto akcentów: „Polska jako mocarstwo... będzie na swej wielkiej drodze ku szczytom ideału co krok składać dla innym narodów ofiarę ze swojej pracy...“ Tak, to jest mesjaniczne i jako takie ściśle logiczne.

Będzie to, jak się z dalszego okazuje, „propaganda“ idei pokoju i federacji państw chrześcijańsko-europejskich. Niech będzie zgoda na ten ideał. Zgoda i na to, że właśnie w Polsce — (ale nietylko w Polsce), w atmosferze romantyczno-mesjanicznej, był urodzaj na takie właśnie idee, jak się to dzisiaj nazywa, „uniwersalistyczne“. Ale czy taka propaganda będzie „ofiarą“?

Owszem, mogłaby ona być ofiarą — a to wtedy, gdyby się mesjanistyczną postawę wzięło całkiem na serjo. Jak się poświęcać, to się poświęcać: Dlaczegożbyśmy nie mieli dla pokoju europejskiego, dla tej niewątpliwie wziosłej idei, poświęcić coś z naszego narodowego egoizmu i odstąpić tym, oczywiście niższym od nas — (bo do mesjanizmu należy poczucie wyższości!), niezdolnym do „najszlachetniejszej miłości, mesjanicznej“, Niemcom, część naszego terytorjum?! To by było dopiero mesjanicznie! Ale mój oponent, mesjanista współczesny, zastrzega się odrazu, że nie ma na myśli ofiary ani terytorjalnej, ani ekonomicznej, ani, tembardziej, z bytu politycznego. To jest patrjotycznie zgoła, — ale gdzie została „ofiara dla innych narodów?“ Bo praca nie jest ofiarą, a jak będzie dawała wyniki cywilizacyjnie zajmujące, to obcy ją wezmą i..., dobrze zapłacą. Jeśli zaś nie będziemy wytwarzali rzeczy materjalnych i duchowych, cywilizacyjnie pożytecznych, to nie będziemy mieli znaczenia między narodami, choćbyśmy składali się z jednostek osobiście jaknajszlachetniejszych.

Kwestja o mesjanizm, to w gruncie rzeczy kwestja t. zw. „egoizmu narodowego“. Z pewnością, jest coś bluźnierczego mówić, jak Włosi o „egoizmie świętym" (*egoismo sacro*), i ta myśl kryje w sobie niebezpieczeństwa, np. niebezpieczeństwo krótkowzroczności politycznej, kiedy się dla własnego świętego spokoju rzuca na łup wrogowi naród, który mógłby być kiedyś najlepszym sprzymierzeńcem i t.p., zawiera ona w sobie możliwości zbrutalizowania wielkiego walk narodowych. To prawda. Ale w istotnej treści zawiera ta myśl jedno: zawiera stanowcze odrzucenie suggestji, jakoby godziło się dla jakichkolwiek idej abstrakcyjnych poświęcać konkretne interesy narodu. Np. żeby dla innych narodów, do tej pory niewyzwolonych, upajając się ideałem wyswobodziciela narodów i t. p., tworzyć państwa własnym kosztem i nie wiele namyślając się nad tem, jak my na tem wyjdziemy. Tak we Francji wyrzucają Napoleonowi III, że kierując się ideą narodowościową, pozwolił Prusom pobić Austrję, pozwolił wspaniałomyślnie, ale zato nieprzezornie urosnąć w potęgę najgorszemu wrogowi swojej ojczyzny. Wprawdzie wyswobodzanie narodów i inne ideje ściśle polityczne nie nie wchodzą w ścisły program mesjanizmu, który jest kierunkiem religijno-moralnym; ale postawa mesjanistyczna jest to ta właśnie postawa, która sprzyja, przez zawartą w niej ideę „ofiary dla innych narodów“, potępianiu rozmaitych innych postaw duchowych narodu, dyktowanych prostym instynktem samozachowawczym. Przez co oczywiście nie chcę powiedzieć, jakoby współdziałanie narodów dla wspólnych celów nie miało być zawsze pożądane, a nieraz możliwe i byłoby to *de facto* czemś zarówno niskiem jak i nierealnem, *a priori*, w zasadzie, takie możliwości odrzucać!

2. Użyłem wyżej o mesjanizmie wyrażenia jako o idei, która miała tylko tymczasowe znaczenie. Dla podkreślenia tego, pozwolę sobie zwrócić uwagę na analogje, jakie zachodzą pomiędzy naszym mesjanizmem, a ideologją Gandhiego. Kiedy Polak czyta przemowy, artykuły Gandhiego, to uderzony jest czemś znanem sobie i bliskiem. Prawda, przecież to u nas było: „*Satyagraha*“ — wiara w moc duchową, które jako taka, sama przez się, bez użycia sił materjalnych, przezwycięży najeźdźcę, przekonanie, że tą wiarą Indje górują nad zmaterjalizowanym światem, że one dadzą światu przykład nowego, moralnie niepokalanego, sposobu zwyciężania, czyż to wszystko nie krążyło w atmosferze duchowej naszego me-

sjanizmu? Czyż taki rok u nas 1861, rok manifestacyj kościelno-narodowych — rok, kiedy to, można powiedzieć, emanacje mesjanizmu, rozproszone po psychice narodowej, zaczęły się aktywizować — nie był właśnie w typie „*Satyagraha*“?

Ale pamiętajmy, że po r. 1861 przyszły lata następne, r. 1863, kiedy zaczęto już walczyć nie na siły czysto duchowe, ale na karabiny. Podobnież i w Indjach, ruch, który chce pobić potężnego przeciwnika samą wzniosłą, ofiarną i pełną religijnej ufności postawą tłumów — ten ruch samym swym ciężarem stacza się na teren walki zbrojnej, do której przyjdzie niechybnie wtedy, kiedy się naród indyjski poczuje na siłach. Gandhi zdaje sobie z tego sprawę, wyrzuca własnym swoim zwolennikom, że przyznają się do *satyagraha* tylko dlatego, że się czują jeszcze słabi. Widzimy tu konflikt mesjanizmu, w najlepszem pojęciu, jako najczystszego idealizmu, ale idealizmu, że tak powiem „luksusowego“, z mechanizmem psychicznym ruchów masowych ściśle politycznych.

Do tego zmierzam: Mesjanizm jako idea widziana od strony jednostek, jest wyrazem głębokiej religijności i zarazem patrjotyzmu — jest on ich syntezą. Ale żeby mesjanizm mógł stać się ideą, krążącą po społeczeństwie, potrzeba głębokich ciosów w życie narodowe, potrzeba poczucia u narodu głębokiej niemocy politycznej. Wtedy to, sięgając do zapasów wiary religijnej, naród — tak u nas, jak i u Hindusów, jak gdzieindziej jeszcze, [2])— powiada sobie, że nikt inny tylko on przechowuje czystą, nienaruszoną religijność i wzamian za to należy mu się zwycięstwo, ale pod warunkiem, że nie skala się materjalizmem szerokiego świata. Któżby śmiał przeczyć, że to wzniosłe, któżby z ludzi religijnych nie zawahał się, przeciwstawiając się takiej postawie? A jednak mesjanizm, jeśli nawet sam w sobie nie jest zjawiskiem patologicznem, rozkwita, jako reakcja, na tle patologicznem, tle niemocy. Gdy naród z tej niemocy zdrowieje, wzrasta w siły, maleje w nim też podatność na ideje mesjanistyczne, zaczyna się obchodzić bez nich. Jest to więc, powtarzam, idea tymczasowa.

Ale jakże to, czyż naród ma prawo wylinić się z idei, choćby najszlachetniejszej, jak wąż ze skóry, kiedy przyjdzie nowe lato? I czyż nie jest to, co wyżej mówię, transponowaniem na skalę dziejową przysłowia „jak trwoga to do Boga“ — a kiedy trwoga minie, to już całą religijność pakować do muzeum? Czyż wyprzeć się tych ran „jakie dziś w każdym Polaku wyczytasz“ — jak się wyraża autor pięknej, neoromantycznej „Legendy“, A. Waśkowski — ran męczeńskich, które dziś stały się „widomym stygmatem naszych najwyższych wartości wewnętrznych, cnót, zdolności do bohaterstwa“? Czyli, poprostu powiedziawszy: mesjanizm, był przejawem głębokiej religijności; czy, wyrzekając się go, nie zaprzeczamy samej religijności tej?

Wskażę przedewszystkiem, że mesjanizm analogizuje Chrystusa i Polskę. Otóż to może być czemś prawie bluźnierczem w oczach ludzi wierzących, tak np. odczuwał Aleks. Wielopolski. Wprawdzie możnaby odpowiedzieć, że szło tu o szukanie pociech w przykładzie męki Chrystusowej, co nie jest bluźniercze ze ściśle chrześcijańskiego punktu widzenia. Ale niemniej pozostaje jakaś reszta, jak się wyraża autor obrony mesjanizmu „wiary w Chrystusowość swoją“. A to jest, — pominąwszy już zarzut dopiero co przytoczony, — przynajmniej megalomanją. I dlatego, wolno użyć tego silnego wyrażenia, bo przekonanie o sobie, że się jest mesjaszem narodów uniemożliwi zdrową samokrytykę. I tak wywody historyczne naszych mesjanistów, Mickiewicza i Słowackiego, np. o *liberum veto*, są całkiem nie do strawienia dla nas, który wiemy dziś, że było to nie żadne wyjątkowe objawienie się akurat w Polsce — przyszłej idealnej formy narodu, ale poprostu przestarzały, a szkodliwy sposób obradowania, mający wiele powodów, bynajmiej nie pożądanych (por. Konopczyńskiego).

Ale co do religijności. Wiara w zbawczą, przetwarzającą rzeczywistość, kiełznającą żywioły bestjalstwa — moc ducha, moc osiągniętą czystością, ofiarnością, zaufaniem w pomoce nadziemskie — oto jest sama esencja religijności. Człowiekowi religijnemu nie wolno o tem wątpić. Ale moc ducha,— to nie ulega wątpliwości, — napotyka opory materji, „świata“. Otóż właśnie o to idzie, jak silne opory przyznaje się światu: Czy uznaje się te opory, na które doświadczenie wskazuje, czy też żyje się w świecie fikcyjnym, jakiejś nieopornej, rozrzedzonej materji? Czy np wierzy się, że opór najeźdźcy da się rozmiękczyć samemi jeno cnotami, pasywnemi raczej, jak np. chcieli nasi mesjaniści — Towiańczycy, albo jak zalecał Krasiński („cnotą znieść niewolę“), czy też potrzeba do tego jeszcze karabinów i konjunktury politycznej i wogóle wielu rzeczy niekoniecznie czysto materjalnych, ale w każdy razie mocno s lecionych z „materją“? Wiara religijna, czy to będzie chrystjanizm, czy indyjska *satyagraha* służyć ma jednostce, wzmagając jej ducha, nakreślając pewne szlachetne złagodzenia, lojalizacją sposobów walki, do której ona wezwana jest jako osobistość polityczna. Ale teren polityki musi być zostawiony rozważaniom rzeczowym, ściśle politycznym. I jeśli ma być pozytywna korzyść za wspomnień tego rodzaju idei religijno-moralnej o refleksach politycznych, jak mesjanizm, to ta ażeby pobudzić myśl współczesną do ściśłego i konkretnego wyznaczenia punktów kontaktu a zarazem i rozgraniczenia terenów działania wiary oraz moralności i działania politycznego. Na zagadnienie to tylko wskazuję niniejszem.

3. W artykule Waśkowskiego znajduję *passus*, że narody mają dane sobie nie jednakie warunki zewnętrzne, geograficzne i t. d. — a jeśli idzie o Polskę, to „Opatrzność ją wyposażyła w najszczęśliwsze warunki terytorjalne“... Przecieram oczy... Jakto, przecież to jest ciężki kłopot polski, te nasze otwarte i niewyraźne granice, w które nieprzyjaciel łatwo ze wszystkich stron wchodzić może! Ale przepraszam tu idzie „o warunki terytorjalne, najszczęśliwsze — jeśli chodzi o p o s ł a n n i c t w o“... Otóż to! To logicznie i typowo mesjanistycznie — ale proszę zauważyć, jakie w umysłowości mesjanistycznej nastąpiło przesunięcie motywów!

A nie idzie tu tylko o odczuwanie „literackie“, politycznie obojętne. Bo łatwo wyobrazić sobie moż-

[2]) Np. jako ciekawa próba mesjaniczna, coś takiego dostrzec da się u rosyjskiego emigranta, znanego pisarza W. Berdjajewa. Naród rosyjski poddał się bezbożnikom bolszewickim; jak ten upadek głęboki pogodzić z jego religijnością żywą, z której tylu Rosjan, m. i. Berdjajew szczyci się? Otóż naród rosyjski jest wyjątkowym, jedynym, przez to, że jest „narodem apokaliptycznym“. W nim ma się objawiać absolut, jego posłannictwem ukazywać działanie absolutu. Teraz więc Rosja pokaże swiatu, jak wyglądają rządy Antychrysta, aby potem pokazać reakcję na nie, żywe, odnowione chrześcijaństwo...

na, że postawa posłannicza—(mesjanizm jest taką postawą najtypowszą) — może mieć silne refleksy praktyczne, polityczne. Np. gdyby się Polsce naznaczyło to posłannictwo, aby była podstawą jakichś interesów ideowych przeciwko Rosji sowieckiej lub prawosławnej. Oczywiście, bynajmniej nie chcę w wątpliwość podawać wzniosłości i walorów takiego samopoczucia narodowego posłanniczego i dalekie mi też jest mniemanie, jakoby zgóry należało w „trzeźwej“ polityce narodowej wyłączać wszelkie możliwości związania jej z jakąś ideą o znaczeniu ogólniejszem. Ale w każdym wypadku pojawienia się takich pomysłów bada się, w trzeźwej polityce, czy to jest — korzystne dla ojczyzny? A zatem, jesteśmy ni mniej ni więcej, tylko w owym okrzyczanym „egoizmie narodowym“, który współdziałania z innemi narodami lub z ideami ogólnemi nie wyrzeka się, ale stawia je jako środek do celu (narodowego); natomiast logika umysłowości posłanniczej stawia naród jako środek do celu. Z czego nie musi wynikać brak patrjotyzmu, bo takie poddanie narodu pewnemu celowi „wyższemu“ łączy się z przeświadczeniem, że na tej właśnie drodze czeka naród chwała. Ale w każdym razie tego pokroju patrjotyzm ma skłonność pozostać zgóry źle uprzedzonym wobec argumentów rzeczowych przeciwko swej idei posłanniczej.

Wogóle w umysłowości posłanniczej, naród musi ze swego bytu legitymować się wobec jakiejś wyższej, ogólniejszej idei. Więc co robić na wypadek, jeśli się okaże, że posłannictwa danego ani *de facto* nie spełnia, ani nie jest w możności spełniać? Zwinąć interes? Chyba nie. Okazuje się zatem, że są inne, wystarczające motory, które utrzymują naród w ruchu: Motor biologiczno-rasowy, to jest samoobrona danego szczepu przed zmieleniem gospodarczem, społecznem — w wielkich dziejowych przesunięciach; i ważniejszy motor moralno-przodowniczy, motor przywiązania do kultury w danym języku u tej inteligencji, która w produkcję tej kultury inwestowała swoje najlepsze ambicje i samopoczucia. Motor świadomości posłanniczej jest tu zbędny. Działać zaczyna jako rezerwowy podówczas, kiedy w najcięższym ucisku instynkt samozachowawczy, zdeprymowany, strwożony, musi raczej poddać się, niż bronić się dalej. Wtedy mesjanizm, idea religijna jest wyrazem najgłębszej, niezmąconej fali życia. I jako taki jest w samej swej zasadzie psychomoralnej czcigodny.

4. Odrzucając mesjanizm — (jako politykę, kierującą się nadziejami nagrody mistycznej w świecie rzeczywistości politycznej — podczas, kiedy miejscem właściwem dla nadziei takiej jest tylko życie wewnętrzne jednostki) — nie należy nastawiać się tak, aby przeoczać możliwości „misji“ narodowej w innem, nie mistycznem, ściśle politycznem znaczeniu. Może się mianowicie okazać, że sytuacja dziejowa narodu poprzez wieki pozostaje taka sama, że są przed narodem wieczyste zadania do spełnienia, aby się utrzymał na powierzchni, i może ponadto być tak, że spełnianie tych zadań okaże się pożyteczne dla innych narodów. Np. stara pierwszych Piastów „misja“ organizacji szczepów słowiańskich przeciwko zdławieniu przez niemczyznę, jest dla Polski na nowo aktualna.

5. Streszczam: Na mesjanizm polski, jak się on sumarycznie przedstawia u swych naczelnych przedstawicieli — i jak to znamiennie oddane jest w artykule Waśkowskiego — składają się momenty: (I) idea ofiary osobistej dla ogółu; (II) idea religijna wiary w cudowną moc ducha; (III) idea wyjątkowości moralno-religijnej narodu polskiego, wsparta na (IV) koncepcji historjozoficznej szczególnych zasług Polski czy to dla chrześcijaństwa wogóle, czy to katolicyzmu, czy to dla demokracji czy to dla idei wolności obywatelskiej i t. p. i (V) analogja cierpień Polski z cierpieniami Chrystusa; (VI) stąd i nadzieja chwały przyszłej i zmartwychwstania Polski, uwarunkowana żeby tak powiedzieć (VII) „polityką nadeuropejskiej cnoty”, ofiarnictwem dla innych narodów. Człony I i II mają wartość wieczystą, przyczem przy cz. II potrzebna jest poprawka świadomości o sile oporów materjalnych, poczucia, że świat jest twardy; ale te człony nie są wyłączną własnością mesjanizmu. Natomiast specyficznie mesjaniczne są człony III — IV. Ale cz. III, IV, V, VI, trudne są do utrzymania w świetle myśli historycznej ściśle rzeczowej, nie rozgrywającej się już, jak ówczesna, na tle głęboko nurtującej rozpaczy narodowej; człon VII — albo nie przedstawia żadnej treści konkretnej, albo przedstawia suggestje polityczne raczej niebezpieczne. Stąd trudno ideę mesjaniczną uznać za żywotną i „najżywotniejszą” dla Polski.

*

„Romantyzm“ to wiele różnorakich zjawisk, częstokroć całkowicie sprzecznych między sobą. Ale któż zechce wyprzeć się bez reszty romantyzmu, kto skosztował z tych źródeł najczystszej ochłody po „codziennych życia upałach“, tułaczce życia w naszej tak oschłej, „rzeczowej“ aż do sobkowstwa bezczelnego, współczesności? Dlatego też najostrzejszego sprzeciwu godną byłaby szkoła, która, nie poprzestając na rewizjach niezbędnych, zaniedbałaby u pokoleń najmłodszych wyrabiać gust do poezji naszych wielkich romantyków — i romantyków późniejszych aż do Młodej Polski: Tej poezji, która o śpiżowe bramy tajemnic wali falami straszliwej wzniosłości.

Wisła KAROL LUDWIK KONIŃSKI

POWSTANIEC O POWSTANIU LISTOPADOWEM

ZBLIŻAJĄCA się setna rocznica powstania listopadowego przyczyni się niewątpliwie do wzrostu zainteresowania się tą epoką naszych dziejów, przyniesie szereg studjów i opracowań, wyświetlających ciemniejsze, mniej zbadane odgałęzienia wydarzeń, ich przesłanki i skutki. Oczekiwać należy, że wśród tych spraw nowo traktowanych znajdzie się również sprawa opinji publicznej owej epoki, sprawa poglądów, orjentacyj, przemagających się wzajemnie w ówczesnej polskiej myśli politycznej.

Za mało się może o tem pamięta, że owa opinja nie była jednolita, że już współcześnie nie cały naród, nie cała elita umysłowa narodu aprobowała powstanie. Tymczasem jest rzeczą uderzającą i godną uwagi, że w szeregach tych, co nie potrafili zagłuszyć w sobie troski i zastrzeżeń, znajdowały się również wybitne jednostki z obozu

przeciwugodowego, z pośród nieposzlakowanych patrjotów i „niepodległościowców“.

Przypomniano niedawno na tem miejscu obawy i motywowawaną rezerwę Mickiewicza wobec powstania; wysuwał on wyraźnie przeciwko ruchowi zarzut nierozwagi politycznej. Niedawno również R. Pollak wydobył z archiwum interesujące informacje o tem, z jakich to motywów usunął się od udziału w powstaniu niedawny najbliższy współpracownik Łukasińskiego, upatrzony na inicjatora i wodza ruchu zbrojnego, major K. Machnicki, jak wyjechawszy zaraz po wybuchu do Wielkopolski, nie krył się z tem, że uważa powstanie za krok nierozważny.

Ta opinja patrjotyczna przeciwpowstańcza, motywy, na których się wspierała, cały ten prąd myśli politycznej, godne są szczegółowego zbadania. Przyczyniłoby się to niewątpliwie do pogłębienia wiedzy naszej o tym fermencie uczuć i myśli, który w masie narodowej był wtórem wydarzeń wojennych powstania, a niewątpliwie nie został bez wpływu na bieg wypadków i na ich uczuciowy resonans. Notatka poniższa będzie drobnym przyczynkiem do wspomnianej tu sprawy.

Przed czasem niedawnym miałem sposobność przypomnieć (w poznańskiej „Tęczy“) osobę i niektóre poglądy jednego z całkowicie zapomnianych pisarzy politycznych emigracji, M. Kubrakiewicza. Była to osobistość (ur. w Jaryczowie w Galicji, zm. na emigracji w Bordeaux 1852 r.) wcale nie pospolita. Wykształcony prawnik, był urzędnikiem administracyjnym we Lwowie, kiedy wybuchło powstanie. Przedostał się zaraz do Waszawy i stanął do służby w rządzie powstańczym, przydzielony do Komisji Przychodów i Skarbu; niebawem jednak rzucił biuro i wstąpił do szeregów, był podporucznikiem piechoty.

Początkowo, porwany falą powszechnego zapału, dzielił on wiary i entuzjazmy uczetników ruchu. Napisał nawet broszurkę „Nadzieje Polski“, w której dowodził „niezbicie“, że moment dla powstania wybrany został ze względów polityki międzynarodowej najodpowiedniejszy, że interwencja państw europejskich po stronie Polski jest nieuniknioną i oczekiwać jej należy w czasie najbliższym. Jednem słowem, do powstania przystąpił Kubrakiewicz całą duszą i bez zastrzeżeń. Jednakowoż rychło budzić się w nim zaczęły zastrzeżenia i obawy, przyniosło mu je trzeźwe i szersze spojrzenie na okoliczności postronne, towarzyszące prowadzonej walce narodu.

Górował Kubrakiewiez nad wieloma z rówieśnych towarzyszy broni tem, że miał uwagę zwróconą na zachód, nastawiał czujny słuch w stronę Niemiec, przewidywał nadchodzące stamtąd niebezpieczeństwo. Jako urzędnik austrjacki przejrzał on do gruntu dążności i metody rządu wiedeńskiego, zdawał sobie sprawę z konsekwentnej tendencji politycznej niemieckiej (Austrji i Prus), z kamienną wytrwałością wymierzonej przeciw Polsce. Z tą więc obudzoną czujnością patrzył on też na wszystko, co się działo z Polską i koło Polski w związku z powstaniem. Patrzył i widział, jeden z niewielu, że Polska bije się na jednym froncie, że całą uwagę skupiła na walce z Rosją, a tymczasem na tyłach jej inny wróg, Niemcy, zdradliwie i obłudnie zwodząc nas swą niby to życzliwością, popychając powstańców w tragiczną walkę, zbiera siły i czyha na sposobność, żeby wyczerpanemu narodowi zarzucić pętle przemocy, stworzyć warunki do dalszego rozbioru ziem polskich.

To przejrzenie zdecydowało o kierunku dalszej działalności publicystycznej Kubrakiewicza. Po klęsce powstania wyjechał na emigrację i tam w chwilach wyrwanych pracy zarobkowej (utrzymywał się z prywatnych lekcyj języka niemieckiego) pisał i za oszczędzony trudny grosz emigrancki wydawał broszury społeczno-polityczne z orjentacją przeciwniemiecką. W r. 1846, po rzezi galicyjskiej, wydał główne swe dzieło, książkę o Austrji, będącą wielkiem, szeroko cyframi i faktami motywowanem oskarżeniem tego państwa, jego przewrotnego systemu rządowego, w szczególności jego perfidnej polityki przeciwpolskiej.

O poglądach politycznych Kubrakiewicza, wyłuszczanych w broszurach i w prywatnej korespondencji z Lelewelem i Czartoryskim, zwłaszcza o jego oświetleniu sprawy polsko-niemieckiej, ujmowanej ze stanowiska odosobnionego, takiego, jakie zajmie później dopiero Popławski, — powiedziano szerzej we wspomnianym artykule. Obecnie należy tu podnieść jeden szczegół, tam pominięty, trzeba przypomnieć sąd Kubrakiewicza o powstaniu listopadowem. Sąd rzeczywiście niezwykły, a godny uwagi, jako świadectwo uczestnika tamtych czasów i wydarzeń; autor bowiem mówi o faktach, wziętych z bieżącej rzeczywistości, a mówi ludziom, którzy na sprawy omawiane patrzyli, mogli prostować, gdyby były przeinaczone czy wprost zaczerpnięte z fantazji.

W książce o Austrji („*Essai sur le gouvernement paternel et les mystéres d'Autriche*“, str. 36) czytamy o stanowisku Austrji (i Prus) wobec powstania listopadowego: Niby to sprzyjała powstaniu, tysiącami sprzedawała rządowi polskiemu muszkiety po 60 fr. za sztukę, Polakom z Galicji pozwalała się przekradać do szeregów powstańczych, ale równocześnie postawiła na granicy korpus obserwacyjny w sile 25.000 ludzi. Gra jej, prowadzona na spółkę z Prusami, była wyraźna. Chodziło Niemcom o to, żeby w stosownym momencie zmusić cara do przywrócenia stanu rzeczy z r. 1795, t. zn. obaj sojusznicy chcieli zabrać Rosji i podzielić się na nowo ziemiami polskiemi na lewym brzegu Wisły.

Dla osiągnięcia tego celu, — pisze autor najwyraźniej, — doradzali Niemcy Polakom, by przenieśli teren wojny za Bug i na Litwę, a sami czyhali tymczasem na Warszawę. Jenerał Chłopicki sprzeciwił się temu nierozsądnemu planowi czynników, stojących pod wpływem Niemiec, dojrzał w nim prusko-austrjacką pętlę i przedstawiał rządowi ten zgubny dylemat: Czy pobijemy Rosjan,— mówił,—czy zostaniemy pobici, jednaką na Polskę sprowadzimy zgubę. Jeżeli nas pobiją, zniszczą Polskę Rosjanie, jeżeli zaś my ich pobijemy, zniszczą Polskę dwory wiedeński i berliński.

Świadectwo i sąd Kubrakiewicza nie powinny ujść uwagi historyków sprawy z przed stulecia. Nie znamy jeszcze dobrze i autentycznie gry austrjacko-pruskiej z r. 1831, a wnosićby wolno, że gra to musiała być szczególna, warta źródłowego studjum. Zresztą i pozatem rewelacje autora-powstańca pozwalają wejrzeć w fermenty ówczesnej opinji publicznej, w troski i obawy, nurtujące naród pod wierzchnią falą entuzjazmu powstańczego.

STANISŁAW PIGOŃ

MISTYKA MILITARYZMU

(Dokończenie)

PRZYZWYCZAJONO się w stosunku do armji wydawać sądy zbyt powierzchowne, godzące w nią albo z powodu ciasnej miłości własnej jednostek, urażanych rygorami kasarni, albo sądzące ją na podstawie nierealnych ideałów. Dostatecznym argumentem przeciw militaryzmowi ma więc być cały szereg krytykowanych szczegółów życia żołnierskiego, jak niepotrzebne nieraz zużywanie energji, drobne szykany i szorstkość ze strony podoficerów, czy innych bezpośrednich przełożonych, okazywanie pogardy i często umyślne upokorzanie przez nich „inteligentów", stawianie wyżej wytrzymałości fizycznej nad zdolności umysłowe, zbytnia dyscyplina, łamiąca nieraz słabsze indywidualności. Nie tu wyczerpuje się jednak treść zawodu żołnierskiego. Cała drobiazgowość i meskinerja życia codziennego nie jest w możności osłabić jego potrzeby i wielkości, a przytem i ona ma swoje dobre strony. Czas wyszkolenia jest bowiem nietylko najlepszą szkołą cnót żołnierskich, ale równocześnie próbą ogniową, w której poznaje się wartość i moc charakterów.

Znacznie niebezpieczniejsze są zarzuty pseudoideowe, stawiane armji, gdyż odbierają wiarę w jej treść i celowość. Do walki powołuje się cały aparat haseł o sprawiedliwości i braterstwie ludów, tudzież o barbarji i pierwotności instynktów w czasie wojny. A więc: jakiem prawem zwalcza się obce narody, narusza ich spokój i terytorja, w imię czego odbiera się bliźnim ich życie, i t.d., jakgdyby prawo honoru i dumy narodowej nie było człowiekowi równie wrodzone, jak potrzeba jedzenia, lub zajmowania pewnej przestrzeni. Co innego oczywiście jest zachowanie własnej godności i potrzeba obrony, o których tu mowa, niż wojna czysto zaczepna, dyktowana przez brutalną zaborczość lub materjalną chęć zysków. Wojna tego rodzaju traci swą głębszą wartość mistyczną, zdolną poruszyć masy.

Według recepty pacyfistycznej uważa się zwycięstwo za powrót do średniowiecza, krzywdzące nadużywanie siły, zapominając, że i siła może być objawem inteligencji, wytrwałości, zręczności i odwagi, oraz wprowadzać postęp. Nie mogąc zaprzeczyć konieczności istnienia wojny, wynikającej ze współżycia różnych narodów, nowoczesne społeczeństwo demokratyczne ucieka się do kompromisów, półśrodków. Godzi się zatem na istnienie armji, ale tylko pacyfistycznej, jako stróża porządku. Zapomina się, iż w tym wypadku kompromis i hypokryzja muszą być wykluczone, jeśli armja ma spełnić swoje zadanie i być rzeczywiście armją.

Chociażby więc całe społeczeństwo było pogrążone w kwietystycznym pokoju, żołnierz—według Psicharego — powinien pragnąć wojny, gdyż taki jest jego zawód i jego moralność.

E. Psichari odbiegł pod tym względem bardzo daleko od poprzednich generacyj. A. de Vigny np. ubolewa bardzo nad przedziałem, jaki istnieje między armją a narodem, oraz uważa za największe zło, że armja jest narodem w narodzie. Przeciwnie dla Psichari'ego, główną zaletą wojska było to właśnie, że stanowi ono typ odrębny, mający swe specjalne prawa i ciężary. Balzac już w r. 1842 pisał w swojej przedmowie do zbiorowego wydania Komedji Ludzkiej: „Społeczeństwo podobne jest do przyrody. Ono czyni z człowieka, zależnie od środowiska, w którem rozwija on swą działalność, tylu odmiennych ludzi, ile jest odmian w zoologji. Różnice między żołnierzem, robotnikiem, urzędnikiem, adwokatem, próżniakiem, mężem stanu, kupcem, marynarzem, kapłanem, poetą, chociaż trudniejsze do uchwycenia, są tak znaczne jak te, które różnią wilka, lwa, osła, kruka, rekina, fokę, owcę i t. d. Istniały zatem i zawsze istnieć będą gatunki społeczne, tak jak istnieją gatunki zoologiczne".

Psichari uważa, że moralność żołnierska nie jest ani wyższa, ani niższa, lecz tylko różna od moralności reszty narodu. Użyteczność armji leży, zdaniem E. Psichari'ego, w niezależności jej od reszty społeczeństwa, w odmienności jej zasad, które są niezbędne, chociażby różniły się często od zasad reszty narodu. „Wojsko ma własne znaczenie i mistykę niezamienną z innymi".

Psichari należy już do młodszej generacji nacjonalistów, która zrywała z wszelkiemi konwencjami i tolerancją politykierską, pozwalającą na zamęt w myśl „wielkich ideałów". I na niego za pośrednictwem K. Péguy oddziałał wpływ książki G. Sorela p. t. „*Reflexions sur la violence*". Psichari nie waha się też powiedzieć, że obowiązkiem żołnierza jest utrzymywanie ideału militarystycznego, wobec wszystkich i przeciw wszystkim — aż do gwałtu i niesprawiedliwości samej, gdyż moralność żołnierska przewyższa dużo wymagania moralności powszechnej i codziennej.

Tak np., dowodzi dalej Psichari, stan oficerski wymaga doktryn, które nie nadają się „*ad usum universi*", do użytku powszechnego, podobnie jak kapłan i uczony muszą mieć do pewnego stopnia własną moralność zawodową, właściwą ich stanowi. Rolą armji, o ile ona ma mieć wogóle jakieś znaczenie, jest utrzymywanie ideału żołnierskiego, lecz, jak się wyraża Psichari, nie społeczno-militarystycznego, lecz militarnie-militarystycznego. Podobnie głosił Bourget: „...chimerą jest marzenie o armji narodowej bez militaryzmu, czyli bez stworzenia atmosfery intelektualnej i moralnej, specyficznie wojskowej" („*Nouv. Pages de crit et de doctr.*", t. II, str. 168—9).

Psichari uważa za konieczne, „by istniała w świecie pewna liczba ludzi, którzyby się nazywali żołnierzami i upatrywali swój ideał w zjawisku walki, i którzyby mieli zamiłowanie do walki samej, nie do zwycięstwa, lecz do walki, tak jak myśliwi mają zamiłowanie do polowania, a nie do zwierzyny". Zawód żołnierski ma być zatem nietylko środkiem, ale i celem sam w sobie, sztuką dla sztuki.

Chociaż autor zbyt może daleko posuwa się, przyznając armji odrębne, wkraczające już w dziedzinę etyki prawa, to jednak nie można odmówić śmiałości i wzniosłości teorji, stawiającej wojsko na piedestale, nie mogącym się równać z żadnym innym.

Zresztą wojna dla Psicharego, jak dla Renana, nie jest czemś bezwzględnie złem, a nawet ma wielkie znaczenie jako „chwila najintensywniejszego uzewnętrznienia się charakteru rasy czy narodu". Podobnie znaczenie moralne wojny sprawiedliwej podnosił Bourget, gdyż ona „pobudza to, co jest najbardziej męskiego i wzniosłego w sercu człowieka".

Znaczenie militaryzmu nie wyczerpuje się jednak tylko w samem działaniu zewnętrznem. Skromna akcja staje się symbolem głębszej, ukrytej idei, o wielkiem znaczeniu narodowem. Psichari podkreśla wciąż element tradycji i stałości, jaki przedstawia armja w zmiennym i chwiejnym świecie współczesnym. Jedynie wojsko, obok Kościoła, podtrzymuje ciągłość i trwałość fundamentów narodu. Mimo wszelkich przemian w społeczeństwie, zmian kursu polityki, kombinacyj gabinetowych i wyborczych, żołnierz zachowuje zawsze swą postawę. Psichari uważa, że armja powinna stać poza nawiasem polityki i partyjnictwa. Nie uznaje on, co to jest żołnierz cezarystyczny, republikański lub nierepublikański i stara się tylko wiedzieć, co to jest żołnierz. Za jedną z najpiękniejszych zalet armji uważa Psichari tę właśnie, że teoretycy nie mają do niej przystępu. „Zajmujemy granice, o które się rozbijają filozofowie i moraliści, filantropi, hygieniści, mówcy, politycy“ („*Appel*“ str. 204).

Psichari podziwia dalej w armji jej pierwiastek mistycyzmu, wybiegający swemi celami daleko poza doczesność. Pod tym względem zbliża się armja do religji, gdyż jak ona, w wielkiej mierze i armja, jest rzeczą wiary. Połączenie najczystszego mistycyzmu religijnego z militaryzmem rozwija Psichari w „*Le Voyage du centurion*“ (oraz „*Les Voix qui crient*“), godząc możliwe konflikty i usuwając zastrzeżenia, jakie może żywić katolicyzm wobec armji. Książka ta, prawdziwe studjum nad religijną psychologją żołnierską, dowodzi, że istnieje chrześcijańska doktryna wojny. Zawód wojskowy wskutek dyscypliny, skupienia, oraz poświęcenia zupełnego idei, nosi pewne cechy zakonu i z konieczności skłania do rozważania problematów wiecznych. Żołnierz spełnia rolę owego centurjona ewangelicznego, łączącego w sobie posłannictwo wiary i oręża. „Z pośród wszystkich ludzi Bóg wybrał żołnierza, ażeby jego wielkość i niewola na ziemi były obrazem wielkości i niewoli chrześcijanina...“ („*Voyage*“, str. 179). Ideał narodowy i religijny łączą się tu ściśle ze sobą. Takie stanowisko Psichari'ego spotkało się z zupełną aprobatą Kościoła, o czem świadczy dowodnie przedmowa biskupa Baudrillart'a do „*Appel des armes*“.

Armja ma wreszcie bardzo wielkie znaczenie narodowe, ucząc poznania i miłości własnej ojczyzny. Tak Maurycy jak i Maxence nie odczuwali początkowo dla kraju rodzinnego żadnej wdzięczności; z ich ciasnego odcinka obserwacyjnego nie byli w możności ogarnąć całości państwa, a chaos moralny i intelektualny, z jakiego wyszli, nauczył ich raczej nienawidzieć, niż kochać. Dopiero pewien dystans od zagadnień aktualnych i szersza perspektywa tradycji, jaką dała im armja, obudziły w nich poczucie łączności i solidarności narodowej. Codzienny trud i współżycie zbliża różne warstwy do siebie. „Armja powinna być zatem pojmowana nietylko jako ciężar dla kraju, ale przedewszystkiem jako wychowanie dobroczynne, bez którego młode siły kraju nie osiągnęłyby swego pełnego rozwoju“. (P. Bourget: „*Nouv. pages de crit. et de doctr.*“ str. 172).

Żołnierz uczy się w wojsku karności i poświęcenia, najcenniejszych zalet dla istnienia każdego państwa. Żołnierz jest też, jak mówi Bourget („*Du militarisme*“ w „*Nouv. Pages*“ 172), „komórką w organizmie, pouczającą nas przez swoje wyrzeczenie się, ale wyrzeczenie pełne energji, czem winniśmy być wszyscy w społeczeństwie, mianowicie drobną nutą wielkiej orkiestry, robotnikami budowli, która nas przewyższa i która jest najwyższą racją naszego istnienia“.

Poglądy na armję Psicharego, aczkolwiek zawierają wielką dozę pierwiastka woluntarystycznego i twórczej dążności do ekspansji, zgadzają się całkowicie z chrześcijańskiemi uczuciami miłości bliźniego, gdyż są pozbawione barbarzyństwa przemocy i imperjalistycznego czynnika gwałtu. Mistyka militarystyczna Psicharego, choć bardzo wzniosła i pożyteczna, ma jednak do pewnego stopnia charakter niestały (służy jako przejście do religji) i abstrakcyjny. Brak Psicharemu walorów pozytywnych realizmu politycznego i socjalnego, na czem cierpi bliższe sprecyzowanie stosunku armji do społeczeństwa.

Jeśli chodzi o nastawienie dzisiejsze wobec armji, to sytuacja wykazuje wiele analogij do stosunków przedwojennych. Moralne i ideowe ustosunkowanie się społeczeństw wciąż jeszcze dowodzi, że żyjemy reakcją wobec lat wojennych. Po ogólnym przewrocie światowym, wielkiem napięciu nerwów i wyczerpaniu fizycznem, trwa okres kwietyzmu, organizowania się przedewszystkiem ekonomicznego, dążenie do kompromisów i obłudnych układów. Nastrój ten znajduje wyraz nietylko w stosunkach „ligonarodowych“, lecz także wobec własnego państwa, w niechęci do zmian głębszych i próbach utrzymania dawnych pozycyj. Liberalno-pacyfistyczne nastawienie bierze górę nad czynnikiem wysiłku i energji, jaki reprezentuje armja narodowa.

Wojsko jest dziś może jedyną instytucją, zadającą kłam racjonalnemu indywidualizmowi liberalistycznemu, wychowującemu ludzkość od XVIII w.

Przetrwawszy głęboką zmianę wszystkich urządzeń społecznych, stawiających „wyzwoloną“, „naturalną“ i niczem niekrępowaną w swym rozwoju jednostkę jako punkt wyjścia praw i stosunków społecznych, świadczy już choćby tylko mocą swego trwałego istnienia w świecie współczesnym o fałszywości zasady swobodnego i niczem nieopanowanego wyżywania się jednostki, oraz o potrzebie istnienia leżącego poza nami czynnika ideowego, wymagającego wysiłku, zasługi i norm określonych. W liberalistycznym i materjalistycznym ustroju świata wojsko było ostatnią ostoją i wyrazem istnienia zewnętrznych i objektywnych wartości idei, wyznaczających cele i obowiązki, sprzeczne nieraz z egoistycznym interesem jednostek.

Ostanie się armji w społeczeństwie demokratycznem, mimo wszelkiej propagandy i grozy wojennej, jest dowodem wewnętrznej potrzeby człowieka oparcia na innych zasadach stosunku do świata, niż tego chciał liberalizm. Rozstrzygać ma nie pozycja egoistyczna i odbiorcza jednostki względem społeczeństwa, ale oparcie się na wspólności obowiązków, służbie idei, solidarnem dążeniu do celów najwyższych, pozajednostkowych. Armja reprezentuje dziś może jedyny idealistyczny czynnik w organizacji społecznej, oparty nie na celach egoistycznych i materjalnych potrzebach człowieka, ale na bezinteresownem, najdalej w poświęceniu idącem uczuciu dla ideału, życiu jednostki dla całości.

Nie można też być nacjonalistą, nie będąc militarystą, gdyż bez siły nie ma nadziei ocalenia dla narodu zagrożonego. Walki o niepodległość Polski wzmocniły kult bohaterstwa, poświęcenia, miłości ojczyzny, brak im jednak było znaczenia wychowawczego, wyrabiania hartu i dyscypliny do

użytku codziennego. Rolę tę spełniały raczej armje zaborcze, z olbrzymiemi jednak dla nas stratami.

W Polsce powojennej praca nad stworzeniem trwałych tradycyj żołnierskich, które oznaczają nietylko pewną dyscyplinę zewnętrzną, ale i specyficzną postawę wobec życia, musi się zacząć niemal że od podstaw. Dotychczas wiele improwizowało się na polu armji, dzięki wrodzonym zaletom Polaków: dzielności, intuicji, zapałowi i skłonności do poświęceń, brak jednak było trwałego wyrobienia i dyscypliny i często, niestety, dziś jeszcze brakuje u nas prawdziwego zrozumienia dla narodowego, państwowego i kulturalnego znaczenia armji. Wojsko uczy stawiać na pierwszym planie ojczyznę, uczy jak bronić jej interesów i praw, wojsko uspołecznia jednostki przez swą organizację zbiorową. Wojsko ma dalej, szczególnie u nas, bardzo ważne znaczenie państwowe czynnika asymilacyjnego wobec mniejszych grup etnicznych. Wojsko uczy nieraz dopiero języka polskiego i historji, daje poznać kraj i większe środowiska miejskie ludności, dla której niejednokrotnie największym centrem było miasto powiatowe. Przez swą jednolitą organizację wojsko jest też niejednokrotnie ważnym czynnikiem społecznym, jednoczącym i zespalającym.

Nie mniej ważną jest działalność wychowawcza wojska, jak pisze także o tem dr. W. Tokarz („Znaczenie wychowawcze wojska", zob. „Bellona" r. 1918 zesz. 4). Wojsko rozszerza horyzonty w dziedzinie kultury umysłowej i materjalnej. Wojsko uczy porządku, czystości, hygjeny i punktualności, wyrabia szybką orjentację, sprawność fizyczną, odpowiednie poczucie siły. Wojsko kształtuje charaktery, uczy solidarności i nawet poniekąd kultury towarzyskiej. Wojsko jest nieraz jedyną sposobnością dla naszego chłopa zetknięcia się ze światem cywilizowanym i zostawia na nim znamiona kultury, wywierające potem wpływ na całe jego życie.

Wychowawcze znaczenie wojska zależy jednak po największej części od odpowiedniego oddziaływania oficerów i bezpośrednich przełożonych. I tu często leży niezrozumienie społeczeństwa, lekceważącego zajęcia fizyczne wojska, i źródło uprzedzeń „intelektualistów", nie doceniających kwalifikacyj umysłowych i moralnych, jakiemi powinni się odznaczać oficerowie, ze względu na ich rolę kształcenia i wychowania. Dobór ludzi jest tu niezwykle ważny, gdyż nieraz nieodpowiednia jednostka może zdemoralizować swym przykładem i zohydzić zawód żołnierski. Oficerami powinni być ludzie o wysokich kwalifikacjach moralnych, umysłowych i ogólnokulturalnych, gdyż inaczej nie sprostają swoim zadaniom i stworzą tylko parodję wojska.

Powinniśmy zatem przemyśleć zagadnienie wojska i jego roli w życiu narodowem wszechstronniej i głębiej, a także dążyć do tego, by głęboko pojęty duch militaryzmu, w jego znaczeniu mistycznem, państwowem i kulturalnem, oraz jako odrębne ustosunkowanie się jednostki do całości, zapanował nietylko w armji, ale i w jak najszerszych warstwach narodu.

BEATRYCZE ŻUKOTYŃSKA

Z ZAŚWIATA

Dzięki łaskawości rodziny ś. p. Maryli Wolskiej otrzymaliśmy pięć niżej podanych liryk znakomitej poetki. Są tak piękne, że przejdą do dziejów literatury, jako wzory mistrzostwa formy. Ale pomnik w nich jest człowieka wielkiej miary. „Istotnie dogasła w nich wspaniale".—*Red.*

NOC SIERPNIOWA

Noc sierpniowa, noc modra... Srebrem gwiazd podzwania
Mokra cała od rosy świerszczowa luteńka.
Gwiazdy pachną czy trawy? Pustki ciemność miękka
Kirem lotnym opyla godziny czekania...

Zaliż nic mi, o nocy, nie masz dziś do dania?!
Wszak wiesz, że nie miłości głód to, co mnie nęka!
Nie jej czekam. Z pod drzew tych sklepionego wnęka
Śmierci woła dziś na głos serce me jak kania!

O GDYBYŻ...

O, módz po białym odpuszczeń opłatku
Lec, przebaczywszy na wieczne wywczasy —
I nic nie słyszeć na czucia ostatku,
Tylko szum rzeki, zielony, domowy,
I tamte szumiące lasy...

O gdybyż paść już na śmiertelne leże,
Z duszą, jak ciała kształt wyprostowaną —
I mieć nad serca stygnącą już raną
Ręce złożone w krzyż i płótno świeże
I ten czarny, ojcowy
Obrazek Częstochowskiej u głowy!

PRZYJDZIE CZAS

Przyjdzie czas, gdy mi wszystkie radości i smutki
Jedno będą. Wydzwoni życie i tak stanę
Jako zegar... W zimowy może dzień przykrótki
Kurantowa melodja nagle się w urwane,
Sypkie nutki rozpryśnie i tak, gdzie los zdarzy,
Wstrzyma cichą wskazówkę na zegara twarzy...

A na polu, za oknem mroźny wicher dmucha,
Gra w kominie, o szyby tłucze się jak żywy...
O, gdyby móc uprosić o powrót dla ducha,
Nagły, lotny i szybki jak pocisk z cięciwy —
I tak paść na pobrzeżne błonie tamtej strony,
Jako żagwi zwiastunnej ostatek zgaszony!

KTO KIEDY ZAJRZY...

Kto kiedy zajrzy w książkę mą,
Nie znajdzie mnie w jej treści,
Sam dźwięk jedynie strun, co drżą
Tem, co się w pierś nie mieści...

To niedośnionych serca snów
Widoma szczypta drobna,
Coś, czemu darmo szukać słów —
A zmilknąć niepodobna...

To ledwie kilka krótkich brzmień,
Jak gdy kto skrzypce stroi —
To tylko ślad gdzie upadł cień
Niesytej duszy mojej...

TOBIE KU CZCI

Tobie ku czci ostatnie ognie moje palę!
Wiesz, co mówi zdyszany, wrący szept płomienia?
Godnie schodzę! Zaświadczysz... Dogasam wspaniale...
Nikt z żywych się w godzinę śmierci nie przecenia...

Niech Maj kwiaty otrząsa, zielem pachną gaje!
Pełna zejdę sił młodych! Zwyciężać mogąca!
Broń odrzucam daleko: prawu się poddaję!
O, wstaw się ty za mną do słońca!

MARYLA WOLSKA

NA WIDOWNI

Lux in tenebris czyli degeneracja romantyzmu. — Nastroje mistyczne i rzeczywistość. — Pasjans jako wyjście z kryzysu ideowego. — Przyszłość państwa i czy warto o niej gadać z obozem narodowym. — Kasza i niebieskie migdały.

W OBOZIE sanacyjnym, który jak chmura zakrył słońce wolności, istnieje grupa Zjednoczenia pracy wsi i miast, słynąca z krytycyzmu, rzuciłem się więc na ostatni zeszyt „Przełomu" (39-40), zobaczywszy tam tytuł: „W pełnem świetle". Nareszcie coś mi wytłumaczą!

Pan Jerzy Szurig sam dla tego pisze, że smutny, że nie może zrozumieć, co się dzieje, że widzi w społeczeństwie, a nawet w kołach blizkich Piłsudskiemu, dezorjentację. W kołach młodzieży sanacyjnej stwierdza „zupełne pomieszanie pojęć ideowych, bałamuctwo i płytkość myśli, skotłowanie organizacyjne i kruchość wszelkich poczynań". „W obozie prorządowym... nie podjęto niczego, nie dokonano niczego".

„Ponieważ panowała w obozie prorządowym rozbieżność poglądów i celów, ponieważ brak mu było jasnych haseł organizacyjno-wychowawczych, jasnego p r z e m y ś l a n e g o p l a n u d z i a ł a n i a i realizacji, przeto dezorjentacja społeczeństwa wzmagała się, wzrastał brak zainteresowania dla (?) spraw państwowych, a obóz społeczny Komendanta miast być siłą aktywną, zdobywczą, budowniczą, stawał się coraz bardziej bezwzględną b r y ł ą, utrudniającą nawet — swą amorficzną masą interesów — działanie rządu. Gdy uwzględnimy jeszcze głęboki k r y z y s i d e o w y, który w ostatnich zwłaszcza czasach pustoszył obóz prorządowy, kryzys spowodowany głównie posługiwaniem się metodami, niezawsze pozostającemi w ścisłej harmonji z wzniosłemi hasłami, oraz naciekiem do Bezp. Bloku ludzi wybitnie konjunkturalnych"...

Oto grupa młodszych z żyjącem jeszcze sumieniem takie światło rzuca na obóz BB pomajowy i rządzący; trudno o „światło pełniejsze". Więc — na Boga — cóż tych ludzi zniewala, że pozostają w takim obozie? Tenże p. Szurig odpowiada:

— To wszystko odrobi wódz Piłsudski. Wiara w cudotwórczość jednostki — oto plan działania grupy.

„Istnieją bowiem w społeczeństwie... bardzo silne n a s t r o j e m i s t y c z n e, związane z osobą i nazwiskiem Piłsudskiego. Te nastroje robią, iż odrazu wytwarza się grunt psychiczny, podatny do poczynań i prac Komendanta — i w ten sposób sytuacja, która wydawaćby się mogła beznadziejną, ulega w kilka dni radykalnej zmianie".

Nie trzeba się przyzwyczajać do patrzenia na fakty społeczne, zwłaszcza na wyznania programowe okiem tępem, jakby to deszcz padał. Słowa coś znaczą, są symptomem jakiegoś naładowania psychicznego, mają swój sens dziejowy. Wyobraźmy sobie, że jesteśmy historykami i chcemy zdać sobie sprawę, co to za formację dziejową wyobrażał taki stan umysłów na poły krytyczny, gdy chodzi o negatywną ocenę najbliższego otoczenia, a w rzeczach działania zdany na mistyczną wiarę w jednostkę. Za nic mają ci ludzie doświadczenie, ciągnące się latami, wystarcza im nadzieja, że nadejdzie wreszcie takich „kilka dni", że wszystko ulegnie „radykalnej zmianie".

Z radykalizmu została tylko nadzieja na radykalizm jednostki. Ale właśnie tym, którzy żyją nadzieją, życie obija boki niespodziankami. Cały długi artykuł p. Szuriga i następny p. Srockiego— to cierpliwy pasjans dla zabicia czasu w oczekiwaniu mistycznej przemiany, a pragnący wyjaśnić kabalistycznie, co znaczy to, co się dzieje:

„Chcemy jedynie, by życie wewnętrzne Polski miało głęboki wewnętrzny sens, jasny i zrozumiały dla społeczeństwa. Chcemy, by to życie płynęło w a r t k i m p r ą d e m i d e o w y m, dlatego też"...

Nareszcie dowiemy się czegoś o środkach działania:

„...dlatego też nie wyrzekamy się haseł Przełomu Majowego... dlatego wiernie stoimy przy sztandarze rewolucji 1926 r. i jej Wodzu"...

Cały wywód poświęcony był temu, że po przewrocie stosunki utraciły sens, jasność, zrozumiałość, nawet zgoła ideowość, właśnie to wszystko czego pragnie, pomimo to „stoi wiernie" itd. Dlaczego? Bo przyświeca tej grupie nadzieja na Piłsudskiego. Bo, jak wypada z pasjansu p. Srockiego (s. 9) — aresztowania „m o g ą b y ć t r a k t o w a n e jako druga część rewolucji, rozpoczętej w maju 1926".

Spytacie, czemu tyle miejsca poświęcam pasjansom „Przełomu". Bo szukam oznak przełomu ciężkiej choroby, która trapi społeczeństwo w pewnym jego odłamie. Ślady krytycyzmu świadczą, że gorączka spada, ale — niestety — widzimy, że otępienie jeszcze potrwa. Bo przecież powszechnym ideałem jest, żeby życie miało sens i jasność, ale na przeszkodzie stoi właśnie nie co innego, tylko tacy Szurigowie i Sroccy, którzy jak sroka w kość, zapatrzeni są z otępieniem w problem osobisty jednostki:

„Jeśli — kończy sentencjonalnie swój pasjans Srocki — dobrze czytamy wewnętrzną treść ostatnich wywiadów, to zdaje nam się, iż można z nich wyciągnąć wnioski, że w tym właśnie kierunku (rewolucji) pragnie O n w chwili obecnej poprowadzić walkę o p r z y s z ł o ś ć p a ń s t w a p o l s k i e g o".

Zaiste stan godny pożałowania, gdy na „przyszłość państwa polskiego" stawiać trzeba kabałę, aby ją wyrozumieć mistycznie ze słów wyroczni. Takich rezultatów w umysłowości polskiej dorobiliśmy się na romantyzmie. Wszystko już z niego wywietrzało: i historycyzm, i religijność, i patrjotyzm, i ludowość—pozostała tylko „aberacja umysłowa" i parodja pierwiastka bohaterskiego w próżniaczem aż do kultu rachowaniu na opatrznościową jednostkę, w niewolniczej admiracji niespodzianek i bata.

Nie można przecież na serjo zajmować się przyszłością państwa, gdy mózg zdolny jest tylko myśleć kategorjami bajek cudownych o bohaterach *à la* Monte Christo, Janosik, czy Rinaldo Rinaldini. Zagadywana bowiem temi bajkami rzeczywistość, tycząca owego państwa polskiego, jest zupełnie inna. Nie o ustrój państwa chodzi, lecz właśnie o sens i przytomność dziejową. Zupełnie też nie dziwimy się, że ideowcy sanacyjni z „Przełomu" nie mogą wyrozumieć stronnictwa Narodowego, które myśli realnie. Rzeczywistość poprostu obraża ich uszy.

Taki np. Marjan Seyda w Poznaniu na pytanie, dlaczego obóz narodowy na wyborach nie może iść razem z „sanacją" (na Pomorzu), odpowie (ob. „Kur. Pozn." nr. 448) argumentami, które się nie zmieszczą w głowie owych ideowców i będą im przykre, bo dotyczą prawdy konkretnej. Seyda mówi właśnie o tem, o czem nie wspomną nigdy „wywiady":

„Póki nie będą przekreślone wszystkie dobrowolne ustępstwa, zrobione Niemcom z praw, przynależnych państwu polskiemu, póki się nie wydali optantów, póki się nie cofnie

zrzeczenia się likwidacji mienia niemieckiego, nie odwoła utwierdzenia na polskiej ziemi b. kolonistów pruskich, póki się nie odstąpi od przyznanego Niemcom w traktacie handlowym prawa osiedlania się w Polsce, póki się na terenie międzynarodowym nie powie słowa mocnego, które odbierze Niemcom ochotę od myślenia o Pomorzu polskiem i które zagranicą otrzeźwi naszych wrogów, a wzmocni kość pacierzową naszych przyjaciół politycznych, i ponadto, póki nie ustanie rozbijanie przez obóz „sanacyjny“ społeczeństwa polskiego w całem państwie, dopóty mowy być nie może o zgodzie ze stronnictwami „sanacyjnemi“ i jednolitym froncie“.

Rewolucja, rewolucją — moi panowie — ale nie wypada dopraszać się jej u rządu. Jeżeli chodzi wam o rzeczywistość, to porozmawiajcie z Niemcami, którzy jasno się wypowiadają, czy oni czasem także nie chcieliby u nas rewolucji. Oni wam robią konkurencję; oni się zbroją, a wy kładziecie pasjanse.

Nie lubicie rzeczywistości; każdy rad bierze na talerz co lubi; wam do smaku niebieskie migdały, a rzeczywistość — to jak kasza, która kole w zęby.

ZYGMUNT WASILEWSKI

WYCHOWANIE NARODOWE

„IDEOLOGJA“

GDY w ostatnich czasach pogróżki niemieckie pod adresem Polski zaczęły przybierać formy jaskrawe i całe społeczeństwo polskie odpowiedziało na nie zgodnym protestem, — piłsudczyzna nie mogła uchylić się od udziału w tych manifestacjach samopoczucia narodowego. Swoim zwyczajem, nie poprzestała jednak na solidaryzowaniu się z ogółem, lecz zapragnęła przypisać sobie wyłączną inicjatywę w tej sprawie i monopol na czujną troskę o bezpieczeństwo granicy zachodniej.

Wobec tego dobrze będzie przypomnieć poglądy, wygłaszane nie tak dawno jeszcze przez wychowawców młodzieży w duchu „państwowym“. W n-rze z 25 maja 1930 „Sternika, dwutygodnika dla młodych” (wydawanego i redagowanego we wsławionym dnia 14 września domu przy Al. Ujazdowskich 37) zamieszczony był artykuł pod znamiennym tytułem: „Oczy na Wschód“, podpisany Witold Sieniawski. Przesłanką wywodów autora jest zdanie, że „w stosunku do Niemców położenie nasze jest i będzie zawsze położeniem obronnem“ (?) a „właśnie konieczność utrwalenia owej granicy zachodniej zmusza nas do pozytywnego rozwiązania problemu“... olbrzymich połaci krajów, rozciągających się poza wschodnią naszą rubieżą! Posuwanie się na Wschód, *„Drang nach Osten“* jest prawem historycznem wszystkich cywilizowanych ludów europejskich, — w przeciwnym kierunku szły najazdy hord barbarzyńskich. Parciu na wschód stawiają zaporę — przez samo swoje istnienie — organizmy narodowo-państwowe, a więc i Polska w stosunku do Niemców. Autor twierdzi, zapominajac choćby o rozbiorach Polski, że posuwanie się „germańszczyzny“ zatrzymało się już w wieku XIV na zaporze czeskiej i polskiej; o germanizacji Słowian poza granicami Polski, oczywiście, nic nie słyszał. Polska nie ma widoków na ekspansję w kierunku zachodnim:

„Dziś my ze swej strony musimy rozumieć, że nasza ewentualna ekspansja na zachód jest nierealną fikcją, że na tym odcinku jesteśmy ograniczeni do defenzywy; że musimy korzystać z każdego roku pokoju, aby ten pokój, a wraz z nim *status quo* na zachodniej granicy utrwalać“.

Taki program — zupełnej rezygnacji z ekspansji na zachód — głosiła „sanacja“ wobec młodzieży w maju 1930 r. Dziś, wobec zbliżających się wyborów do sejmu na ziemiach zachodnich, urządza wielkie wiece z maksymalistycznemi żądaniami na zachodzie i organizuje buńczuczny „tydzień antyniemiecki“ Strzelca. Wracajmy jednak do „Sternika“ z maja.

Polska niema więc widoków na ekspansję w kierunku zachodnim, ale ma drogę otwartą do ekspansji „kulturalnej i pokojowo-politycznej“ na Wschód. Naiwne plany tej ekspansji popsułyby autorom wieści o niedługo potem rozpoczętym sabotażu ukraińskim, kierowanym z Berlina, a więc z przekroczeniem granic państwa polskiego przez *„Drang“* niemiecki. Pisząc w maju, mógł jednak kończyć artykuł z błogim optymizmem: „I tak, nieznacznie, mrówczo, z o c z y m a n a W s c h ó d patrzącemi, skuteczniej niż przez proklamacje, wiece i pochody, budować będziemy moc Rzeczypospolitej i strzec z a c h o d n i c h jej granic“.

W artykule tym zjawiła się cząstka tajemniczej „ideologji“, w myśl której ma być wychowywana młodzież w duchu „państwowym“. Aż nazbyt szybko nastąpiło sprostowanie ze strony bijącej w oczy rzeczywistości! To też mimo młodego wieku czytelników „Sternika“ mogli oni na tym przykładzie przekonać się, naocznie niejako, o wartości wskazań swych mistrzów. Ci jednak nie tracą pewności siebie, gotowi zawsze do nowych koziołków logicznych, zwłaszcza że pokryć je mogą argumentami natury bardziej praktycznej.

„Sanacyjni“ przedstawiciele władz szkolnych kładą przy każdej sposobności w głowę sterroryzowanym nauczycielom, że obowiązkiem ich jest wychowywać młodzież w myśl „ideologji Marszałka Piłsudskiego“. Kto się nie czuje zdolnym do wypełnienia tego obowiązku, ten winien się usunąć, o ile nie chce być usuniętym. Rzecz znamienna, że nigdy w odpowiedzi na to nie słyszy się zapytania, jak też wygląda ta ideologja, gdzie można znaleźć jej sformułowanie, albo czem różni się nakazywane wychowanie „państwowe“ od „narodowego“. Obie strony czują dobrze, że zapytania takie byłyby ironją, wprawiającą w zakłopotanie władzę, a więc karygodną. Były zresztą przykłady ostrzegawcze! Trudno przecież powiedzieć wyraźnie, że chodzi w gruncie rzeczy o władzę nieograniczoną jednostki i miernego jej otoczenia oraz uznawanie za prawdę, cokolwiek te osoby głoszą, choćby wczoraj mówiły co innego. Chodzi zatem głównie o wyczucie, skąd wiatr wieje, i o szybkie orjentowanie się, kto w danej chwili jest w łasce.

Przed kilku laty np. piłsudczyzna rzucała gromy na tych, co ośmielili się uznać książkę Struga „Odznaka za wierną służbę“ za niestosowną lekturę dla młodzieży. Dziś najwierniejsza z wiernych Marja Jehanne Wielopolska tak oto odzywa się o Strugu: „Przecz jeszcze powtarzam, że nie dotykamy takich zaprzedanych już antypaństwowemu partyjnictwu, o wyraźnem obliczu pisarzy, jak p. Andrzej Strug, wódz „frondy“ legjonowej, który nawiasem mówiąc, myślał, że nas ogromnie zaskoczy wieścią, iż na Zjazd Radomski... nie przybędzie. Gdyby on wiedział, z jakiem u c z u c i e m o d r a z y patrzyłam niedawno na oficera polskiego, siedzącego z nim w pełnym mundurze w loży, podczas

Międzynarodowych konkursów hippicznych!!“ [1])

Do ideologji należy też widocznie—idąc w ślady tego, co lży naród — wmawiać młodzieży dzisiejszej, że jest pokoleniem marnem, nie dorosłem do miary tych, co poszli za „Nim“. W „Sterniku“ co krok spotkać się można z tą metodą „wychowawczą“. W szczególności np. wywiad z Wacławem Sieroszewskim poświęcony był rozważaniu kwestji, dlaczego niema teraz młodzieży w literaturze,—odpowiedź brzmiała, że dzisiejsza młodzież nie zasługuje na to, jak zasługiwała młodzież poprzednich pokoleń. Ironja, satyra, złośliwe docinki pod adresem młodzieży wogóle, a czytelników w szczególności, spotyka się zbyt często na łamach „Sternika“. Świadczy to o braku harmonji między redakcją a (bodaj niezbyt licznymi!) czytelnikami. To samo, co na większą skalę dzieje się w społeczeństwie!

„Ideologja Marszałka Piłsudskiego“ wyraża się w „Sterniku“ chyba najjaśniej i najbardziej autorytatywnie — o ile to możliwe — wszak kierują tem pismem wtajemniczeni, zorganizowani w „Zrębie“ (niejawnej organizacji elity nauczycielstwa „sanacyjnego“, związanej z BB. i wydającej czasopismo o tym samym tytule). „Sternik“ istnieje jednak tylko dzięki poparciu rządowemu i bynajmniej nie nęci młodzieży. A jak będzie wyglądała „ideologja“ w interpretacji sterroryzowanych lub chcących robić szybką karjerę nauczycieli? — zapewne jeszcze niefortunniej. Wpływu zamierzonego na ukształtowanie się umysłowości młodzieży wywrzeć ona nie zdoła — to pewne. A jaki będzie wpływ faktyczny? W każdym razie daleki od prawdziwego wychowania obywatelskiego, jakiego nam obecnie potrzeba. Ażeby nie był zbyt szkodliwy dla zdrowia moralnego młodzieży, o tem pomyśleć musi społeczeństwo.

K. OGR.

[1]) Marja Jehanne Wielopolska: „W blokadzie zaprzańców. Braciom legjonistom od byłej literatki, na ich Zjazd Radomski 10 8. 1930“. Własnym nakładem. Str. 12.

NAUKA I LITERATURA

KSIĄŻKA DLA ANGLIKÓW O ROMANTYZMIE POLSKIM

DR. Juljan Krzyżanowski, który przez trzy lata wykładał literaturę polską w szkole slawistycznej londyńskiego King's College, wydał w roku bieżącym w języku angielskim historję romantyzmu polskiego [1]). Tych trzysta stron, napisanych doskonałym stylem, barwnie i przystępnie, ma dla nas szczególną wartość jako pierwsza angielska książka o naszem piśmiennictwie, obejmująca większą całość, a wyszła z pod pióra zawodowego polonisty. Miały swoją wartość entuzjastycyne studja Miss Moniki Gardner o Sienkiewiczu i Krasińskim, monografja prof. Rose'a o Konarskim i prace prof. Dyboskiego, powstałe podobnie, jak omawiana tu książka, z wykładów w King's College. Lecz autorzy — z wyjątkiem Rose'a — nie byli specjalistami, co w pewnych wypadkach odbiło się na treści, a w każdym razie budziło nieufność w czytelniku angielskim.

Publikacja prof. Krzyżanowskiego następuje po szeregu artykułów na temat naszej literatury, ogłoszonych w „*Slavonic Review*“ w ostatnich czasach, i po przekładach, pochodzących głównie od kalifornijskiego profesora G. R. Noyesa i jego uczniów. Wszystkie te wydawnictwa, razem wzięte, stanowią wyborną propagandę i przyczynią się niezawodnie do usunięcia fatalnej ignorancji, jaka w stosunku do naszego piśmiennictwa panuje na gruncie angielskim. P. Krzyżanowski daje dobrą jej próbkę we wstępie: W słowniku literatury powszechnej, w którym szuka informacyj przeciętny Anglik, pracujący w czytelni Muzeum Brytyjskiego, znajdzie on zaczerpnięte skądś zestawienie Mickiewicza z trubadurami prowansalskimi XII w. i konsekwentnie wyciągnięty wniosek, że literatura polska w stosunku do francuskiej jest o siedem wieków spóźniona... *Sapienti sat.*

Prof. Krzyżanowski zaczyna od krótkiego zarysu piśmiennictwa naszego od początku; rysuje tło historyczne romantyzmu, trzy następne księgi poświęca trzem wieszczom. Ks. V nosi ogólny tytuł „Tendencje realistyczne w romantyzmie polskim“. Pierwszy jej rozdział — po części niezupełnie właściwie tu włączony — omawia mniejszych poetów, dalszy Fredrę, ostatni Kraszewskiego; powieść. Ks. VI poświęcona jest Norwidowi, krótka ostatnia zawiera uwagi ogólne na temat specyficznych cech romantyzmu polskiego, zwłaszcza na temat mesjanizmu.

Jak widać już z tego rozkładu treści, p. Krzyżanowski, pisząc dla cudzoziemców zdecydował się skupić światło na kilku najbardziej charakterystycznych postaciach i uniknął przez to gubienia się w szczegółach. Poszedł jednak w tym kierunku za daleko, traktując bardzo pobieżnie literaturę krajową. Jest to w związku z jego dążnością do rewizji ustalonych wartości, polegających rzeczywiście niekiedy raczej na uczuciowym stosunku społeczeństwa do pewnych jednostek, niż na niczem nie zamąconym sądzie krytycznym. Ale trudno pogodzić się z zupełnem niewymienieniem Ujejskiego. Wogóle należało mojem zdaniem wzbogacić książkę zwięzłemi, ale na tle politycznem kreślonemi obrazami grup poznańskiej, warszawskiej i lwowskiej. Byłaby to wyborna sposobność do zainteresowania angielskiego czytelnika tragicznem położeniem i prześladowaniami Polaków w trzech zaborach.

Mam jeszcze jeden poważniejszy zarzut. Kaczkowski jest stanowczo niedoceniony. Był to przecie charakter nikczemny, lecz wielki talent. Nie godzi się „Olbrachtowych rycerzy“ nazywać nieudałą próbą *(a failure)* i stawiać na równi z „Annunciatą“. Pozatem mogę mówić jedynie o różnicy zdania w kwestjach drugorzędnych, o zestawieniach zjawisk literackich polskich z angielskiemi, nie wprowadzonych przez autora a przychodzących mi na myśl, lub o niedość ścisłej stylizacji niektórych ustępów. I tak uważałbym, że podobieństwo „Świtezianki“ do „Rybaka“ Goethego jest nieco wyolbrzymione, a zależność Mickiewicza ogranicza się do pierwszego impulsu twórczego. „Ideę zdrady“ w „Wallenrodzie“ najprościej wyjaśnia wpływ Byrona. Lechici powinniby nazywać się po angielsku „*Lechites*“, nie „*Lechs*“, a wogóle przy „Lilli Wenedzie“ dobrzeby było zwrócić uwagę na obraz narodu polskiego i na pierwiastki satyryczne. Prosiła się analogja między pierwszym tomikiem Mickiewicza, a „Balladami lirycznemi“ — są znamienne punkty styczne między młodym Mickiewiczem, a Wordsworthem. Autor „Pana Tadeusza“ nie znał jego utworów, więc duchowe pokrewieństwo wynikło tylko z ducha czasu. Warto było zaznaczyć wpływ Macphersona na „Grażynę“, tak trafnie ujęty przez prof. Bruchnalskiego, ewentualnie także uwzględnić również moją hipotezę co do wpływu tegoż Macphersona na „Farysa“. Na str. 48 mówi p. Krzyżanowski: „W Polsce nie było ani Percy'ego, ani Herdera“, nie ogłoszono „(przed Kolbergiem)“ zbiorów pieśni ludowych. Zdanie to, dosłownie ścisłe, może jednak wywołać mylne wyobrażenie, że nie było u nas już przed wystąpieniem Mickiewicza zainteresowania zabytkami ludowemi.

Robię te uwagi głównie z powodu, że p. Krzyżanowski, jak mi wiadomo, myśli o wydaniu swej książki z odpowiedniemi zmianami po polsku. Mógłby więc uwzględnić, co uzna za słuszne. Lecz czas wrócić do zalet książki. Jej wywody

[1]) Juljan Krzyżanowski: „*Polish Romantic Literature*“. *London, Allen i Uncoin*, 1930.

ogólne są jasne i przekonywające, a dalsze dostosowane do pojęć cudzoziemca i jego przygotowania. Przedstawienie poszczególnych postaci i utworów odznacza się wyrazistością, a polega przeważnie na własnych studjach autora. Jako przykłady jego dojrzałości krytycznej posłużyć mogą: źródłowa analiza ballad Mickiewicza, interpretacja improwizacji i ustęp o „Królu Duchu". Brak mi jednak miejsca na przedłużanie tej listy, muszę tylko jeszcze wspomnieć osobno o księdzę, poświęconej Norwidowi. Nie wiem, czy ktoś u nas narysował oblicze duchowe tego poety, artysty plastycznego i estetyka z taką pewnością ręki i precyzją.

Na zakończenie pozwolę sobie wyrazić żal, że p. Krzyżanowski opuszcza placówkę w King's College. Niewątpliwie okaże się on pożytecznym na katedrze literatur słowiańskich w Rydze, a jego następca w Londynie, p. Borowy, będzie godnie kontynuował tradycję. Ale szkoda wyrobionych stosunków i znajomości terenu...

Lwów WŁADYSŁAW TARNAWSKI

RUCH WYDAWNICZY

Redakcja miesięcznika krakowskiego „Przegląd Współczesny" wydała podwójny zeszyt (sierpień — wrzesień), poświęcony całkowicie faszyzmowi włoskiemu. Autorami prac umieszczonych w tym zeszycie są sami prawie Włosi, a dodać trzeba tacy, którzy w ustroju faszystowskim zajmują wybitne stanowiska Artykuły ich omawiają wszechstronnie politykę faszyzmu we wszystkich niemal najważniejszych dziedzinach twórczości państwowej. Tak więc minister sprawiedliwości, prof. A. Rocco, przedstawia „Prawodawstwo faszystowskie", minister korporacyj, Giuseppe Bottai, mówi o „Państwie-korporacji na służbie państwa-narodu", — minister kolonij, generał E. de Bono — pisze, czem jest „Polityka kolonjalna Włoch", a minister lotnictwa, Italo Balbo, o „Roli Włoch w lotnictwie światowem"; dalej minister robót publicznych, Araldo di Crollalanza, zapoznaje nas z „Budową dróg publicznych w faszystowskich Włoszech", a podsekretarz stanu w ministerjum rolnictwa, A. Serpieri, z „Programem meljoracyjnym". Są tu także artykuły poświęcone „Kampanji zbożowej" (pióra M. Ferraguti, generalnego sekretarza komitetu zbożowego), „Finansom Faszyzmu" (Mario Baratelli, redaktor rzymskiej „*Tribuna*"), „Lasom w faszystowskich Włoszech" (Arnaldo Mussolini, redaktor „*Popolo d'Italia*"), „Reformie wojskowej" (Nedo Valori, redaktor „*Corriere della Sera*"), — „Organizacji narodowej „Balilla" (Renato Rieci, wicesekretarz generalny partji faszystowskiej), „Milicji faszystowskiej" (A. Melchiori, konsul generalny milicji faszystowskiej). O „prasie faszystowskiej" pisze poseł E. Amicucci, generalny sekretarz narodowego syndykatu dziennikarzy faszystów, o „Polityce zagranicznej Włoch faszystowskich" — Virginio Gayda, naczelny redaktor „*Giornale d'Italia*". Istotę faszyzmu definjują w pięknych artykułach Carlo Basile, prezes federacji kombatantów, („Faszyzm") i Roberto Forges-Davanzati, naczelny redaktor „*Tribuna*" rzymskiej („Faszyzm jako czyn, wiara, idea").

„Instytucjom kulturalnym Włoch faszystowskich" poświęcony jest artykuł prof. Giovanni Gentile, b. ministra oświaty, „Włosko-polskie stosunki kulturalne" omawia prof. Giovanni Maver, powołany świeżo do Rzymu na katedrę slawistyki. Poza tem zostały tu umieszczone prace polskich autorów: p. Macieja Starzewskiego („Organizacja społeczeństwa na podstawie ekonomicznej w państwie faszystowskiem"), prof. Romana Pollaka („Kultura polska we Włoszech"), Jalu Kureka („Futuryzm a Faszyzm") i samego redaktora „Przeglądu", prof. St. Wędkiewicza („Faszyzm a kultura intelektualna Włoch powojennych"). Jak widzimy zespół współpracowników prawdziwie imponujący, prace zaś ich dają dokładny obraz działalności państwowo-twórczej w ustroju faszystowskim. Redaktorowi „Przeglądu Współczesnego" powinszować należy tak pięknego rezultatu, który wymagał długich i cierpliwych zabiegów.

*

Ukazała się Hoene-Wrońskiego „Filozofja estetyczna". Przełożył ją z francuskiego J. Jankowski. — (Prace Instytutu Mesjanicznego im. Hoene-Wrońskiego. Warszawa, 1930. Cena 1 zł. — Nabywać można w Sekretarjacie Instytutu, Warszawa, Piękna, Nr. 68, m. 7).

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Niedawno temu doniosły dzienniki, że Stany Zjednoczone występnją przed Trybunałem Międzynarodowym w Hadze ze skargą przeciw Niemcom za urządzanie akcji sabotażowej w krajach neutralnych podczas wojny, m. in. także w Ameryce. Warto przy tej sposobności przypomnieć książkę Roberta Boucard'a: „*Les dessous des archives secrétes*" (*Editions de France*). Autor daleki od polowania na tanią sensację opiera swe wywody na dokumentach, wydobytych po wojnie z tajnych archiwów, wyjaśniając przyczyny właściwe przystąpienia Stanów Zjednoczonych do koalicji. Wilhelmstrasse, posługując się walizą dyplomatyczną Stockholmu, a nawet samych Stanów Zjednoczonych, zamierzała wciągnąć w wojnę z Ameryką Meksyk i Japonję. Sprytnie i z ogromnym nakładem pieniężnym uknuta intryga, połączona z sabotażami na terenach naftowych w U. S. A., została wyryta przez londyński *Intelligence Service*. Balfour, ówczesny minister spraw zagr., zawiadomił o tem niezwłocznie ambasadora U. S. A., Halla, który doniósł o zamierzonej intrydze Wilsonowi. W pierwszej chwili nie chciano temu dać wiary. Dopiero kiedy przedłożono Wilsonowi depesze, odcyfrowane przy pomocy tajnego klucza szyfrowego Niemiec, oddał tenże sprawę parlamentowi. Znaleziono jeszcze inne dowody winy, i mimo kampanji filogermańskiej prasy w Ameryce, która usiłowała zbagatelizować sprawę, wręczono br. Berostorffowi paszport. Następnie wyjaśnia Boucard, w jaki sposób zdobyto tajny klucz szyfrowy Niemiec i jak Niemcy zorganizowali sieć szpiegowską w Hiszpanji i Francji. Ciekawę tę książkę wartoby przetłumaczyć na jęz. polski.

*

Doskonały półmiesięcznik „*Mercure de France*" skończył druk powieści młodego autora Ives de Constantin p. t. „*Don Juan-les-Pins*". Debiut bezsprzecznie udany, powieść żywa i zajmująca, posiada także pewną wartość jako przyczynek do psychologji duszy niemieckiej i jako dokument czasu.

Ives, młody dyplomata francuski, bawiąc na wywczasach w Juan-les-Pins poznaje żonę szwajcarskiego uczonego (niemca) Mily Härtsch. Ives ma reputację don-juana, stąd przylgnął do niego przydomek Don Juan-les- Pins. Pomiędzy Ives'em a Mily zawiązują się serdeczne stosunki, wskutek czego Mily postanawia zerwać z mężem, który jej miłości nie pragnął i pobudzić nie potrafił. Zerwanie nie jest bynajmniej rzeczą łatwą wobec despotyczno-brutalnego charakteru męża i teścia, przy którym mieszka, gdyż mąż przeprowadza badania nad gruczołami w Afryce. Herr Geheimrat Prof. Dr. Otto Härtsch, jest prezesem Międzynarodowego Stowarzyszenia Elity Umysłowej oraz wielkim uczonym. Podczas Zjazdu owego stowarzyszenia umieszcza komitet Ives'a akurat u Prof. Härtscha Tam też udzielono gościnę księżniczce Mathiedzie, zakochanej w Ives'ie i pragnącej wyjść za niego. Trochę z zazdrości, a przedewszystkiem, by ocalić ukochanego przed nierozumnym krokiem, zdradza ona tajemnicę Mily Prof. Härtschowi, który się na rozwód zgadza, o ile syna pozostawi przy ojcu. Na to Mily zgodzić się nie chce, bo wie, że na synu wtedy przeprowadzą dziadek i ojciec swe badania Wobec tego Prof. Härtsch wzywa w tajemnicy swego syna, i kiedy Mily, jej siostra Hanni i Ives wracają z wycieczki, jakiś niewidzialny osobnik odrywa Mily od towarzystwa i znika w drzwiach kliniki, przy domu Profesora. Ives przeczuwa coś złego, dobija się do drzwi, zostaje jednak oderwany przez sekretarkę profesora i dowiaduje się, że mąż Mily wrócił, że plan Mily się wydał. Sekretarka wskazuje mu (ma ona interes w tem) kędy wejść można, by ratować Mily. Uzbrojony w rewolwer wpada Ives do gabinetu, gdzie na stole operacyjnym rozciągnięta leży Mily, na której dokonali niedozwolonego zabiegu pod narkozą — własny mąż i teść. Pod groźbą rewolweru pozwalają oni zabrać Mily, oddają klucze. Ives zamyka ich, wyłącza światło — i za kilkanaście minut jest w drodze do miejsca bezpiecznego wraz z Mily. Powieść kończy się listem Mathiedy, która tłumaczy swój postępek i ostrzega Ives'a przed właściwym dramatem, który się teraz dopiero w ich duszach rozpocznie. Nie zżyją się, złamią sobie życie, bo dzieli ich rasa, wychowanie, tysiączne szczegóły. Powieść ma niewątpliwe braki, miejscami jest zbyt rozwlekła, ale napisana jest z talentem, czyta ją się z niesłabnącym zainteresowaniem.

*

„*Ma conversion*" (Gallimard édit.), to historja życia, a właściwie nawrócenia się Ewy Lavallière, zaopatrzona komentarzami Per Skansen. Ewa Lavallière, jedna z najsłynniejszych przedwojennych aktorek, święcących niesłychane trjumfy w teatrze „*Variétés*", a także i zagranicą, udaje się w 1917 r. do Touraine, gdzie na lato wynajmuje zamek, zapoznaje się tam z miejscowym proboszczem, chodzi do kościoła. A skoro jej panna służąca, a potem do końca życia wierna towarzyszka, Léona, głęboko wierząca, przystępuje do spowiedzi i komunji, Ewa Lavallière, przejęta jej przykładem, uczyni wkrótce to samo. Od tej chwili zmienia się jej życie. Do teatru na scenę powrócić już nie chce. Zwierza

się potem w swych listach, że nieraz poprzednio, po największych sukcesach, opanowywał ją jakiś niezwykły smutek, a czasem rozpacz, tak że myślała sobie życie odebrać. Teraz tego nie uczyni. Udaje się wraz z Leoną do Lourdes, gdzie razem spędzają dni na modlitwie i pracy, bo Ewa Lavallière wyzbyła się wszystkich bogactw i żyje w biedzie. Wskutek jej poprzedniego życia nie otworzą się nawet przed nią drzwi klasztoru, gdzie chciała wstąpić. Pomimo tego usunie się od ludzi i świata, osiądzie w Lotaryngji, i tam w strasznych cierpieniach fizycznych, zakończy życie, nietylko zadowolona, ale szczęśliwa, bo jak sama powie: Nic nie da się porównać nawet z jedną minutą ekstazy... nie mam słów do wypowiedzenia mego szczęścia, bo jest ono nieskończone...

*

Panna Paule Henry-Bordeaux, idąc śladami swego ojca, oddaje się literaturze. Dzięki zaś niemu jest nietylko wprowadzona w środowiska literackie, ale razem z nim odbywa odległe podróże. Wschód zaś zdaje się specjalnie ją nęcić. Jemu też poświęca swą ostatnią powieść „*Antaram de Trebizonde*“ (Albin Michel edit.). Autorka, na statku „Alcyon“, który ją z Syrji przewozi do Francji, poznaje ormiańskiego pułkownika i jego żonę. Towarzyszy zaś im ich córka, która cudownym wprost sposobem uszła pogromom, jakie miały miejsce w Trebizondzie. Imię jej — Antaram. Ona to opowiada autorce perypetje swej ucieczki i jak wreszcie dostała się w ręce szefa plemienia Kizilbath. Ten zakochuje się w Antaram, poślubia ją. Z tego małżeństwa rodzi się mały Haïk... Ale ojciec Antaram nie zniesie tego mezaljansu. Organizuje wyprawę, aby ją wyrwać z rąk Cheikh Mohamed, jej męża i uprowadza ją do Beyruthu, gdzie odnajduje ona także swą matkę. Antaram nadaremnie jednak upomina się o syna, którego kocha. Nieugięty ojciec oświadcza jej, że przeszłość tę powinna raz na zawsze wymazać z pamięci. Ale młoda matka cierpi. I jakkolwiek ojciec jej utrzymuje, że na skutek tych wszystkich przejść, Antaram nie jest przy zdrowych zmysłach, to jednak, skoro ich statek zawinie do Marsylji, potrafi ona zmylić uwagę swoich. Antaram odjedzie na Wschód dla odszukania synka, a także pewnie i męża... Istotnie egzystujących? Może będących tylko wytworami jej chorej imaginacji, ale w danym wypadku, to właściwie na to samo wychodzi.

SZTUKI PLASTYCZNE

FOTOGRAFIKA

Z PRASY zawodowej dowiadujemy się, że polski świat fotograficzny obchodził w tym roku kilka jubileuszów, a ostatnio — dwudziestopięciolecie pracy znanego w Polsce artysty-fotografa p. Jana Bułhaka. Znakomity fotograf od początku działalność swoją rozwija w Wilnie, gdzie ma stałą siedzibę i pracownię, ale zdjęciami swojemi całą Polskę ogarnia, fotografując kraj w jego pięknościach i zabytkach miast, wsi i krajobrazu. Dorobek jego obecny liczy około sześciu tysięcy zdjęć, zgromadzonych w stu albumach. Liczba imponująca! Z liczby tej dwa tysiące pięćdziesiąt przedstawia samo Wilno i najbliższą jego okolicę — w trzydziestu ośmiu albumach, oraz przeszło tysiąc zdjęć z województw sąsiednich. Zrozumiałe jest to uprzywilejowanie regjonalne. Dalsze okolice i dzielnice Polski aż po Bałtyk obejmuje druga połowa plonu pracy p. Bułhaka. Zastanawiający jest tu zupełny brak krajobrazu tatrzańskiego.

Ponieważ nie zdarzyło mi się widzieć ani jednego z tych albumów, więc jedynie z ogłoszeń samego autora sądzić mogę, że pracą jego kieruje głównie, jeśli nie wyłącznie, metoda geograficzna. Ogłoszenia wyodrębniają wprawdzie i łączą w całość trzydzieści albumów pod tytułem „Dwory polskie“, ale tu panuje metoda zamówień, która wszelką metodę rozbija, a inicjatywę fotografa do bardzo skromnych sprowadza rozmiarów. W każdym razie sam pomysł pracy, wyrażający się w tytule „Polska w obrazach fotograficznych“, posiada godny uznania rozmach w długoletnim i jednolitym wysiłku jednego, na własne siły zdanego, człowieka. Śladem tego torownika sprawy pójdą następni, a może i całe towarzystwa, które już będą mogły podzielić pracę swoją na działy monograficzne, według wspólnego planu w całość wiązane. Metoda geograficzna w przedsięwzięciach tego rodzaju nie wystarcza, posiada jednak zalety popularyzacji.

Rozwój fotografiki znakomicie przyczynia się do szerzenia wśród ogółu znajomości krajów, a przedewszystkiem— kraju własnego. Polacy pod tym względem bardzo są upośledzeni. Niema w Polsce tak pięknego i pożytecznego zwyczaju, jak „lata wędrówki“, który w Niemczech (naprzykład) obowiązuje każdego rzemieślnika w czasie wyzwolin, każdego w życie dojrzałe wstępującego młodzieńca. Niema towarzystw, jak w Italji współczesnej, któreby każdemu, najuboższemu obywatelowi Rzeczypospolitej ułatwiały zwiedzanie i poznanie kraju własnego. Krajoznawstwo polskie istnieje dopiero w zaczątkach. Szybko posunie je naprzód coraz większa liczba towarzystw sportowych, harcerstwa i tym podobnych organizacyj, które puszczą w ruch nogi, ale oczy otworzyć im zdoła dopiero metodyczna i wszechstronna praca krajoznawczej fotografiki polskiej.

W dziale tym p. Bułhak ma niewątpliwie swoje miejsce wybitne i zaszczytne. O ile z kilkunastu, przygodnie znanych mi jego fotografij sądzić mogę, posiada on nadto zmysł artystyczny w układzie i w miarkowaniu harmonji i hierarchji światłocieniowej, co, jak wiadomo, rozstrzyga o wartości każdej fotografji. Ze względu na tak małą znajomość moją działalności znakomitego fotografa i krajoznawcy, wiadomość o nim do tych kilku słów ograniczyć muszę. Upoważnia mnie do tego mój dział (sztuki plastyczne), dla którego fotografika jest czemś w rodzaju dalekiej, bardzo miłej kuzynki. Natomiast ze sposobności nadarzonej skorzystać pragnę w celu bliższego omówienia stopnia tego właśnie kuzynowstwa, jakie fotografikę łączy (i... dzieli zarazem) ze sztuką (i od sztuki) wogóle, a z malarstwem (i od malarstwa) w szczególności.

Fotograf o wyższej kulturze i guście artystycznym chętnie do nazwy zawodu swego dodaje przydomek „artysta“. Samowyróżnienie takie jest usprawiedliwione dążeniem wgórę, ponad szarą przeciętność zawodu, poczuciem w sobie intuicji i pomysłowości, wyłamującej się z pod utartych zwyczajów i nakazów techniki, a wreszcie, — wrażliwością artystyczną na piękno plastyczne. W każdym zawodzie i rzemiośle, w każdej wogóle czynności—od stolarstwa i ogrodnictwa do dentystyki i jazdy konnej — przydomek „artysta“ oznacza mistrzostwo roboty, albo obecność pewnych pierwiastków czy to twórczych, czy też artystycznych. Artystą można być w medycynie i w strategji, w piłce nożnej i w polityce, w zawodzie adwokackim i złodziejskim. Tę samą swobodę posiada słowo „sztuka“. Mówimy: „sztuka fryzjerska“, „sztuka wojskowa“, „sztuka życia“ i tak dalej, a wszędzie słowem tem oznaczamy albo technikę danej sztuki, praktykę danej teorji, albo udział pierwiastków indywidualnych i irracjonalnych, które w skróceniu nazywamy talentem. W tej płaszczyźnie leży również sztuka fotograficzna.

Tak wielka jednak rozpiętność słów „sztuka, artysta i talent“ doprowadziła do zamętu w samych pojęciach, co szczególniej dotknęło działy pracy, które z jakichkolwiek powodów sąsiadują z tak zwanemi „sztukami pięknemi“. Te i owe rzemiosła, zawody, prace techniczne zaczęto na dobre mieszać ze sztukami czysto artystycznemi, a los ten nie mógł ominąć fotografiki, zwłaszcza, że ona charakterem techniki swej i zakresem działania wrzyna się wręcz w dziedzinę, objętą dwiema sztukami artystycznemi — rysownictwem i malarstwem. Stąd powstał i rozpowszechnił się pogląd, że fotografika należy do szeregu muz narówni z poezją, muzyką, rzeźbiarstwem, dramaturgją, malarstwem. Pogląd zgruntu błędny i do obalenia bardzo łatwy, ale dla szanujących się fotografów tak miły, że odczuwam pewną przykrość w obowiązku odarcia ich ze złudnego nimbu, którym godną poważania pracę swoją otoczyli.

Fotografika posiada pewien rys zasadniczy i swoisty, który tak ułatwia oddzielenie jej od sztuki czystej (lub artystycznej), że po omówieniu go nie będziemy mieli potrzeby sięgania w tym celu do głębszych dowodów naukowych. Rys ten zaznaczony jest już w samej nazwie fotografiki, gdzie

powiedziano, że robotę rysowniczą (graficzną) wykonywa światło *(fos, fotos)*. Ponieważ zaś sztuką może być tylko taka praca, którą sam artysta wykonywa, a w fotografice rola człowieka ogranicza się do skromnego zakresu dozorowania i normowania pracy światła, więc żadną miarą nie można jej do szeregu sztuk artystycznych zaliczyć. Dowód powyższy rozstrzyga sprawę raz na zawsze — nawet w postaci swojej tak lakonicznej. Trochę go jednak w dalszym ciągu rozwinę, bo przy tej sposobności natkniemy się na kilka uwag, równie dla fotografiki, jak dla sztuki cennych.

Podstawowym i niezbędnym warunkiem należenia danego dzieła do sztuki (artystycznej) jest zawarta we wszystkich jego cechach twórczość samego artysty. Zacieśniając odrazu rzecz do naszego tematu, czyli do rysownictwa, malarstwa i fotografiki, warunek ten wyrazić możemy w ten sposów, że w sztuce rysowniczej i malarskiej każda kreska i każda plama musi być ręką samego artysty wykonana (poczem dopiero, jak w rysownictwie, może być odbijana). Otóż tego zasadniczego warunku fotografika nie spełnia i spełniać nie może. Kreska rysownicza (linja) w fotografice, jak i w przyrodzie, nie istnieje i istnieć nie może, co wyłącza fotografikę ze sztuki rysowniczej. Zaś plama malarska powstaje w niej na skutek pracy światła, pracy bezosobowej, przez człowieka tylko ujarzmionej, dozorowanej i w bardzo małym stopniu normowanej. Wyłącza to fotografikę z dziedziny malarstwa artystycznego. Fotograf w roli dozorcy cudzej pracy nie jest twórcą, nie jest nawet wykonawcą, więc jakże może być (w ścisłem znaczeniu) artystą? Praca przyrody (światła) nie może uchodzić za sztukę wogóle, bo atrybutem sztuki jest twórczość i wykonanie człowieka, a nie przyrody.

Po takiem uzasadnieniu ogólnem łatwo już ocenimy wszystkie różnice w wartościach widzenia, pomiędzy malarstwem a fotografiką zachodzące. Oko aparatu fotograficznego widzi wszystko z jednakową dokładnością, przedmiotowością i obojętnością, jest całkowicie analityczne, nigdy najmniejszej nawet syntezy dać nie może. Okiem człowieka kierują stany jego duszy, wzruszenia, uczucia, wola wyboru, skojarzenia i tym podobne siły, które narzucają się przedmiotom widzianym, mieszają się z niemi, mącą je i zmieniają w sposób najrozmaitszy, słowem — nasycają przedmiot cechami podmiotu widzącego i czującego. W tej czynności mimowolnej człowiek tworzy syntezy kształtu i barwy, których niema w przyrodzie, i temi syntezami, gdy jest artystą, rysuje i maluje. Na tem właśnie polega sztuka. Z powodu braku owych narzuceń, nasyceń i syntez każda fotografja jest tworem mechanicznym — lepszym lub gorszym, zależnie od swego dozorcy, ale zawsze ze stanowiska sztuki — bezdusznym.

Tak przedstawia się sprawa na terenie dla fotografiki najwygodniejszym, gdzie ona ma najwięcej szans do spokrewnienia się ze sztuką, to jest — na terenie malarstwa, opartego o bezpośrednie kopjowanie przyrody. Jak widzimy, kuzynowstwo niezmiernie dalekie, tylko ze względu na tożsamość przedmiotu istniejące. Do tego samego pokrewieństwa ze sztuką mogłoby się przyznać każde zwierciadło. Pewną ilość artyzmu wnosić tu może sama obecność dozorcy-fotografa, a to, mianowicie, w wyborze przedmiotu, punktu widzenia, oświetlenia, układu przedmiotów i postaci, oraz w normowaniu tonu światłocieniowego. To wystarcza, ażeby fotograf miał kurtuazyjne prawo do przydomku „artysty", ale fotografiki sztuką nie czyni. Gorzej dzieje się na terenie malarstwa, które wyrasta ponad naturalizm i realizm, czyli tam, gdzie głównem oparciem sztuki jest wizja twórcza. Do tego świata malarskiego wrota dla fotografa i jego aparatu na zawsze są zaparte.

Z tych oto powodów mamy prawo używać słów „fotografja", „fotograficzny" w znaczeniu ujemnem, gdy stosujemy je do naturalizmu malarskiego, który ogranicza się do kopjowania przyrody, niczego do niej z duszy artysty nie dodając. W określeniach tych nie poniżamy fotografiki, lecz tylko danemu obrazowi charakteru sztuki odmawiamy, bo istotnie fotografja nigdy dziełem sztuki być nie może. Tak samo uczony, gdy jakiemu dziełu naukowości odmawia, nazwie je „poezją", czem bynajmniej poezji nie poniża. Albo odwrotnie— ciężki poemat filozoficzny możemy nazwać „traktatem naukowym" — w znaczeniu dla owego poematu ujemnem, przez co jednak ani nauki, ani jej ciężkich traktatów nie obrażamy. Te zwyczaje mowy pilnują tylko rozróżnienia dziedzin pracy, co jest słuszne. Na zasadzie tych rozróżnień fotografja jest dziełem sił fizycznych przyrody, zaś obraz malarski — dziełem sił duchowych człowieka. Fotografika daje tylko świat przedmiotowy, w sztuce poprzez przedmiot przemawia świat podmiotowy. Fotograf — cały przebieg pracy wzrokowej powierza kamerze, w sztuce kamerą jest sam artysta. Fotograf jest tylko projektodawcą i dozorcą pracy światła, w sztuce artysta jest twórcą i wykonawcą własnej pracy w jej całokształcie. Artysta objawia siebie w swojem dziele, fotograf — pozostaje mu obcy. Artysta dla dzieła swojego jest ojcem, a fotograf — ojczymem.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

P. S. W zeszycie poprzednim, w szkicu „Malarstwo dramatyczne", w łamie ostatnim, wiersz 11 od góry, w opisie „Wyspy umarłych" Böcklina wydrukowano słowo „pogardy", a powinno być „pogody" (złączonej ze słodyczą i smutkiem).

NA MARGINESIE

„Treviranus na trybunie — hitlerowcy u władzy — sojusz tajny hitlerowców z sowietami ujawniony — Kowno w drgawkach bojowych — w Gdańsku wszechniemiecka propaganda — konspiracja Kominternu na terenach polskich coraz intensywniejsza — Małopolska wschodnia ogarnięta ogniem inspirowanego z zewnątrz sabotażu ukraińskiego".

Takie fakty podaje „Czas" — ku rozwadze (nr. 231).

„Czy jesteśmy na wszelkie ewentualności przygotowani? — zapytuje dalej — Czy ten niesłychany ferment wewnętrzny, który krajem naszym wstrząsa, nie prowadzi nas do katastrofy?... Czy nie idzie to wszystko na rękę naszych najzagorzalszych wrogów?..."

Kwestja kapitalnie postawiona i pytanie rozumne, tylko „Czas" mylnie adresuje apel do stronnictw opozycyjnych, podczas gdy ferment jest dziełem „sanacji" (do której i „Czas" należy), jako dalszy ciąg „przewrotu" 1926. „Czas" jest bardzo roztargniony, że adresuje list do Brześcia.

*

Pisząc o aresztowaniach przywódców stronnictw opozycyjnych, oświadcza oficjalna „Gazeta Polska" (nr. 278): „Owszem, chwali sobie naród jednaką dla wszystkich sprawiedliwość"...

Przykry to stan barbarzyństwa umysłowego i moralnego, kiedy niektórym ludziom cynizm wydaje się... dobrym dowcipem i dowodem... zręczności polemicznej..

ERRATA: W artykule p. A. Jesionowskiego w dziale „Nauka i literatura" w nr. 40 „Myśli Narodowej" sprostować należy następujące błędy druku: Nagłówek „Tam gdzie Orgesch hulała" w II kolumnie połowa:... „najsłabszą stronę powieści Wierzbińskiego (nie Wierzbowskiego)", nieco niżej: Froncka (nie Fronika) w III kolumnie pod koniec: Teodora Stachowskiego (nie Kackowskiego).

W notatkach tegoż autora p. t. „Na Śląsku" w nr. 39 sprostować trzeba: „...któreby z pewnością były (nie byłyby) przepadły" „...Lubosia (nie Subosia)" „...spadek po żywych i hasła (nie baszta)" „...urywki prozaiczne pisane gwarą (nie prozą)". Przy końcu zaś: artykuł o „Muzeum (nie marzeniu) Śląskiem".

Pamiętajcie o odnowieniu prenumeraty na kwartał 4-ty.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.